JEDNODNIÓWKA

Wiedza i Życie

Treść:

WILNO. **11 września 1910 r.**

WIEDZA I ŻYCIE.

Pisząc w nagłówku naszego artykułu „Wiedza i Życie“, nie mamy zamiaru w przybliżeniu nawet wyczerpać olbrzymiego tematu, jaki tkwi w zestawieniu i przeciwstawieniu zdobyczy myśli ludzkiej doświadczeniom i walkom, nadziejom i zawodom, które są codzienną strawą ludzkości. Nasze zadanie jest o wiele skromniejsze. Chcemy tylko, w zastosowaniu do naszych warunków, rozpatrzyć pokrótce to współdziałanie pomiędzy ludźmi wiedzy, którzy wyniki myśli ludzkiej sobie przyswoili, i ludźmi pracy życiowej, które konieczne jest dla owocności wszelkich dążeń społecznych i uchronienia ich od wejścia na bezdroża.

Tam, gdzie chodzi o sprawy kultury materjalnej, każdy widzi, pojmuje i ocenia ogromną rolę, jaką w jej wytworzeniu grały zdobycze wiedzy, która pomogła do opanowania sił przyrody i oddania ich na usługi ludzkości. Inaczej rzecz się ma ze sprawami społecznemi. Nie mówimy już o tym, że teorje naukowe, dotyczące społeczeństwa, nie cieszą się tak powszechnym i jednomyślnym uznaniem, jak teorje, dotyczące przyrody, gdyż temu stoją na przeszkodzie interesy klasowe, które wpływają na uznanie lub nieuznanie tych lub innych teorji i naginają je i przystosowują do swych potrzeb. Wiadomo jest, że gdy interes klasowy w grę wchodzi, nieraz czarne wydaje się białym i odwrotnie. Niezależnie od tego istnieje mnóstwo uprzedzeń, które sprawia-

ją, że wiedza społeczna przez szeroki ogół po macoszemu jest traktowana. W stosunku do spraw społecznych największe rozpowszechnienie ma pogląd, który popularnie sformułowany być może w następującej gadce: Niech każdy czyni, co mu każe duch Boży, a całość jakoś sama się złoży. Że pogląd ten w naukowej swej postaci, jako doktryna wolnej konkurencji, był w swoim czasie przez burżuazję przyjęty, nic w tym dziwnego, gdyż odpowiadał on jej interesom, interesom silnych, którym przedewszystkim o to chodziło, żeby w wyzyskiwaniu słabych żadnego nie doznawać skrępowania. To jednak, co zgodne jest z interesami klas uprzywilejowanych, w zupełnej pozostaje sprzeczności z interesami klas upośledzonych, i tylko ciemnota i brak uświadomienia tych ostatnich tłumaczy, że w swej praktyce życiowej one tak często jeszcze powyższemu poglądowi hołdują.

Burżuazyjna nauka społeczna rozpatrywała społeczeństwa ludzkie nie w historycznym ich rozwoju, lecz w tym ukształtowaniu, jakie one mają obecnie w krajach najbardziej posuniętych pod względem rozwoju ekonomicznego, i uznawała prawa ekonomiczne, rządzące dzisiejszym społeczeństwem, za wieczne i niezmienne. To, co dla burżuazji było teorją, usprawiedliwiającą jej klasowe stanowisko, dla klasy robotniczej było przesądem, hamującym jej rozwój, gdyż, znajdując się pod wpływem tych poglądów, mogła ona myśleć o poprawie swego bytu tylko w granicach dzisiejszego ustroju i niezdolna była do strząśnięcia ciężaru, pod którym się ugina. Natchnąć ją nowym duchem i poczuciem swej siły mogła tylko teorja, która, będąc ściśle naukową, wykazywałaby zmienność ustrojów społecznych i praw, które niemi rządzą, sprzeczności dzisiejszego ustroju, które go rozsadzają, i wewnętrzną konieczność nowego ustroju, w którymby te sprzeczności były przezwyciężone i położony kres współczesnej anarchji sił produkcyjnych,

z zastąpieniem jej przez celową organizację produkcji i spożycia. Taką teorję dał klasie robotniczej marksizm, który ukazał jej oczom prawdziwy obraz dzisiejszego społeczeństwa, zanalizował siły, działające w kierunku przeobrażeń społecznych, postawił ruchowi robotniczemu cele, nie będące wyrazem subjektywnych aspiracji, lecz usprawiedliwione przez objektywny rozwój stosunków społecznych. Teorja ta w różnych krajach przyjęta została przez najbardziej uświadomione żywioły robotnicze i wszędzie współdziałanie i wzajemne oddziaływanie teoretycznej wiedzy społecznej i życia praktycznego dało najlepsze wyniki, ożywczo wpływając na ruch robotniczy.

Odmiennie przedstawia się stan rzeczy u nas, o ile o masy robotnicze chodzi. Wprawdzie oddawna zaczęło się tu oddziaływanie myśli teoretycznej na życie, ale łożysko, którym ona płynie, jest nader ciasne, a sfera jej rozpowszechnienia niezmiernie wązka. Jesteśmy ciągle na poziomie, nad który klasy pracujące innych krajów dawno wysoko się wzniosły. W pocie czoła i znoju toczą nasi pracownicy walkę o byt. Walka ta jest przedewszystkim walką jednostek, z których każda stara się warunki swej egzystencji zachować, i o ile można ulepszyć. Nie trudno spostrzec, że w oddzielności każda jednostka jest bezsilna, to też, gdy tylko nastała możność po temu, zaczęto się łączyć i stwarzać rozmaite zrzeszenia. Ale nawet formy ruchu robotniczego, bezpośrednio z życia wyrastające, i najbliższym, bezpośrednim interesom robotniczym służące, słabo się rozwinęły, napotykając na przeszkody zewnętrzne i walcząc z apatją wewnętrzną. Większe znaczenie miał zawsze polityczny ruch klasy robotniczej. Ale czy to w ruchu politycznym, czy w ekonomicznym, kwestje praktyczne, potrzeby bieżącego dnia zawsze górowały nad kwestjami teoretycznemi, nie mówiąc już o ogromnej roli, jaką grały zagadnienia taktyczne, lub kwestje, ze specjalnego

naszego położenia wynikające. Wszystko to sprawiło, że teorja była u nas zawsze i jest latoroślą bardzo słabą, suchotniczą. Polska literatura naukowa w dziedzinie społecznej jest nadzwyczaj uboga, ludzi nauki na palcach można policzyć, wydawnictw, mających większą wartość naukową, jest bardzo mało, i to przeważnie tłumaczone. Z drugiej strony, nie mówiąc już o masach, nawet u jednostek, inteligiencją i wykształceniem znacznie te masy przerastających, zainteresowanie kwestjami teoretycznemi jest słabo rozwinięte, wyszkolenie teoretyczne nader wadliwe, znajomość kwestji ekonomicznych i społecznych nader niedokładna. Jedno z drugim się splata: brak literatury naukowej i popularno-naukowej stoi na przeszkodzie wyrobieniu czytelników, brak licznego zastępu czytelników wpływa hamująco na rozwój literatury.

Ujemnym następstwem tego stanu rzeczy jest, że ciągle jeszcze u nas wiedza idzie swoją drogą, a życie swoją, że światło teoretyczne nie przyświeca temu życiu w dostatecznej mierze, że brak współdziałania i wzajemnego oddziaływania teorji i praktyki nie pozwala wytworzyć dla jednej i drugiej dość mocnego gruntu, na którym mogłyby należycie się rozwijać. Zbliżenie pomiędzy wiedzą i życiem jest jedną z najpilniejszych potrzeb chwili obecnej.

Quis.

Reglamentacja prostytucji i abolicjonizm.

I.

Wypadki samobójstw między prostytutkami nie należą wcale do wyjątków. Jeżeli wyraz „wesoły“ można czasem zastosować do życia, to do życia prostytutki trzeba go stosować bardzo oględnie. Nie musi to być życie bardzo wesołe, jeżeli prostytutki piją „przez pomyłkę“ ług albo esencję octową.

Le Fort podaje, że w Paryżu za czas od r. 1860 do 1869 na ilość 1294 prostytutek zwolnionych powodem wykreślenia śmierć była w 1073 wypadkach, zamążpójście w 208, znalezienie pracy zaledwie w 13-tu.

Kobiety, wykreślone z listy z powodów wymienionych pod liczbą 2 i 5, nie są jeszcze tym samym zwolnione od kontroli lekarskiej. Dla Warszawy np. istnieje przepis, podług którego takie kobiety muszą w przeciągu jednego roku od dnia wykreślenia dwa razy na miesiąc podlegać oględzinom lekarskim. Na szczęście w praktyce przepis ten nie bywa stosowany, ale groźba zastosowania go każdej chwili nie jest przez to mniej straszna.

Myliłby się ten, ktoby myślał, że przymusowe oględziny i zapisanie na listę dotyczą prostytutek wyłącznie.

Co pewien czas policja urządza obławy nocne i aresztuje wszystkie napotkane kobiety, nie mające określonego zajęcia i dachu nad głową. Kobiety, aresztowane w ten sposób, razem z prostytutkami podlegają przymusowej rewizji. Przepisy pozwalają poddawać oględzinom przymusowym wszystkie kobiety, aresztowane za włóczęgostwo, kradzież, pijaństwo, rozpustę, kobiety znalezione śpiącemi na ulicy lub zauważone w miejscach podejrzanych, a również *robotnice i służące* bez pracy.

Za miejsca podejrzane w Warszawie podług tychże przepisów należy uważać nietylko ogrody, parki, Powiśle, ale

również dzielnice na krańcach miasta, zamieszkałe przez robotników. Kobieta napotkana w takich miejscach o późnej godzinie, o ile nie potrafi natychmiast przedstawić powodów usprawiedliwiających jej obecność na ulicy, może być zatrzymana i poddana następnie oględzinom lekarskim.

Te same przepisy podkreślają dalej, że „kobiety *z klasy średniej*, aresztowane w sprawach niemających nic wspólnego z niemoralnością, pod żadnym pozorem nie mogą być poddawane przymusowej rewizji lekarskiej".

Przytoczone przepisy najwyraźniej upośledzają kobietę proletarjuszkę.

Cała ta akcja — zatrzymywanie kobiet, oględziny lekarskie i t. d. — ma na celu wykrycie osobników zarażonych syfilisem i odseparowanie ich od reszty społeczeństwa. Ogół robotniczy niejeden raz miał sposobność odczuwać na swej skórze całą potworność podobnego systemu uzdrawiania społeczeństwa od syfilisu.

W r. 1883 ober-policmajster warszawski zażądał od właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych poręczenia za moralne życie pracujących u nich robotnic. Robotnice, za które właściciele fabryk i zakładów nie ręczą, miały być niezwłocznie poddane przymusowej rewizji i nadal dwa razy tygodniowo miały podlegać razem z prostytutkami oględzinom lekarskim.

Ten, nie dający się wprost z niczym porównać zamach na honor i godność robotnicy musiał oczywiście wywołać w masach robotniczych ogromne wzburzenie. Najbardziej uświadomiona część robotników, zorganizowana wówczas w partję socjalistyczną „Proletarjat", zaprotestowała najenergiczniej. Po dwuch tygodniach na żądanie ministerjum spraw wewnętrznych rozporządzenie zostało cofnięte.

Kobieta aresztowana na podstawie podejrzenia o zajmowanie się prostytucją tajną skierowywana bywa do komitetu. Tam na podstawie zeznań agienta następuje wpisanie jej na listę prostytutek (gdzie niema komitetu, tam funkcję jego spełnia policja). Pozornie żaden przymus nie bywa przy tym stosowany. Zapisanie na listę nie może nastąpić inaczej, jak

tylko za wyraźnym zezwoleniem samej kobiety. Swą zgodę musi kobieta stwierdzić podpisem. Oprócz tego kobiecie przysługuje prawo odmówić swego podpisu, i wtedy żadną miarą zapisana być nie może*). W rzeczywistości jednak przymus, coprawda pośredni, istnieje. Kobieta, odmawiająca podpisu, zostaje na podstawie art. 44 ust. kar. pociągnięta do odpowiedzialności sądowej za uprawianie prostytucji tajnej, albo za włóczęgostwo. Czasem podobne postawienie kwestji równa się przymusowi i może w pewnych wypadkach wpłynąć na przełamanie oporu kobiety, gdyż musi ona wybierać pomiędzy więzieniem a wpisaniem na listę. Większość wybiera to drugie. Zdarzały się jednak wypadki, że kobiety w oczach urzędnika darły papier podany im do podpisu — wolały pójść do więzienia, niż uznać siebie za prostytutki. Do takich „rewolucjonistek" stosowano nieraz przymusowe wpisanie na listę i obdarzano je gwałtem książkami zdrowia. Najzupełniej nieprawnie... A jednak historja komitetów pol.-lek. przekazała nam i takie kwiatki.

Przepisy prawno-policyjne u nas wymagają, by kobieta przy zapisaniu na listę miała skończone lat 16.—O mającym nastąpić wpisaniu dziewczęcia poniżej lat 16 zawiadamia się rodziców lub opiekunów i czeka się zezwolenia z ich strony. O zapisaniu dzieci niemających ani rodziców, ani opiekunów i tych, które chociaż mają rodziców, ale jawnie prostytuują— decyduje wyłącznie Ober-Policmajster.

W Austrji na listę prostytutek nie mogą być wpisane dziewczęta niżej lat 14, o wpisaniu zaś dzieci niżej lat 14 biuro policyjno-sanitarne obowiązane jest zawiadomić rodziców.

Do domów publicznych u nas przyjmowane być mogą wyłącznie kobiety pełnoletnie od lat 21 (dawniej od 16), tego

---

*) W niektórych państwach (Austrja, Francja) obok dobrowolnego wpisania istnieje wpisanie przymusowe—„z urzędu"- na podstawie „osiągniętych dowodów".

przynajmniej wymagają przepisy. Prawda życiowa drwi z tych przepisów — w domach publicz. są dziewczęta nieneletnie. Regulamin austrjacki dopuszcza do domów publicznych dzieci lat 14.

Niektóre prostytutki zgłaszają się same do komitetu i biorą książeczki — „dla świętego spokoju“. Lecz większość kobiet trafia do komitetu nie z własnej woli; są to przeważnie kobiety zabrane przez policję z ulicy, są pośród nich służące, robotnice bez pracy, kobiety ze wsi szukające w mieście zarobku. Wiele z nich nigdy nic wspólnego z prostytucją nie miało. Większość, ot, wprost ofiary nieubłaganej walki, jaka się toczy wszędzie o zdobycie kawałka chleba. Zdarza się często, że kobieta trafia do komitetu po kilka razy z rzędu, i podobne wizyty nie pozostają bez wpływu na nią. Tam, stykając się bliżej ze światem prostytucji, obcując z dziewczętami, które były też obdarte i głodne, zanim się prostytutkami nie stały, ulega łatwo namowom usłużnych współtowarzyszek niedoli. Jej obiecują odrazu „dobrą posadę“, wzamian żądając tylko jednego: niech weźmie książeczkę. Znękana tułactwem, głodem, aresztami — mając przed sobą ułudę życia lepszego, kobieta decyduje się na krok rozpaczliwy: sama żąda wydania jej książki. W rubryce wyjaśniającej przyczynę zapisania kobiety, urzędnik zaznacza wtedy króciutko: „z nędzy“ albo „na własne żądanie“...

Dr. Oboznienko przypuszcza, że do 60% zapisanych prostytutek w ten właśnie sposób trafiło na listę.

Gdyby nawet, nie 60 kobiet na 100, a jedna jedyna istnieniu reglamentacji miała zawdzięczać swą hańbę — wołać będziemy, że reglamentacji należy się wyrzec. Fakty upoważniają nas twierdzić, że system reglamentacji jest zarazem systemem wciągania do prostytucji kobiet uczciwych, których cała wina jedynie na tym polega, że są bezdomne i głodne!

W teorji i praktyce nadzoru pol.-lek. ujawnia się na każdym kroku dążenie do rozciągnięcia swojej opieki na całą masę pracującą. Podobnie, jak prostytutki są pod nadzorem

jawnym, tak cała masa robotnic, służących, rzemieślnic — stale jest pod nadzorem tajnym. O tym proletarjat powinien pamiętać, jak również i o tym, że kobieta nie-prostytutka trafić może do komitetu.

Przypominamy, że robotnice aresztowane na zebraniach socjalistycznych bywały poddawane rewizji lekarskiej i przemocą wpisywane na listę prostytutek!

Dopóki istnieć będą przepisy, pozwalające na takie rewizje, dopóki istnieć będzie reglamentacja,—żadna robotnica nie może być pewna, że jej nigdy potworność taka nie spotka.

Jeżeli same prostytutki zdobyć się nie potrafią na głośny protest, na krzyk, któryby wybiegł za mury ich więzień, to o ich krzywdę i hańbę upomnieć się musi proletarjat. Występując w obronie praw prostytutki, jako człowieka, proletarjat bronić będzie swoich praw własnych!

To, cośmy powiedzieli w tym rozdziale, jak przypuszczamy, pozwoli czytelnikowi zdać sobie sprawę z istoty reglamentacji i jej znaczenia dla proletarjatu. Reasumujemy krótko: Reglamentacja upośledza prostytutkę jako człowieka wolnego; zmusza ją do wyłącznego zajęcia się prostytucją; przyczynia się do wzrostu prostytucji; ciężarem swym spada nietylko na prostytutki, lecz również na całą klasę kobiet pracujących — dlatego występować przeciwko reglamentacji uważamy za konieczne.

II.

W siódmym lat dziesiątku zeszłego stulecia do walki z reglamentacją wystąpił *abolicjonizm* („abolition“ znaczy „zniesienie“) *).

Ruch abolicjonistyczny narodził się w Anglji i był odpowiedzią na wprowadzenie reglamentacji w tym kraju.

Gdy w r. 1866 parlament angielski uchwalił szereg aktów prawodawczych, na mocy których w 13-tu miastach

*) Historję tego ruchu znajdzie czytelnik w książce J. Butler p. n. „Mój pochód krzyżowy“. Wydaw. „Ogniwa“ 1904

W. Brytanji wprowadzona została reglamentacja, abolicjoniści wezwali społeczeństwo do walki z hańbiącym prawem. Najprzód abolicjoniści zwrócili się do „możnych tego świata“ w nadziei, że tam znajdą poparcie. Zawiedli się jednak srodze — słuchano ich tam obojętnie, nie chciano ich wprost zrozumieć. Nie znalazłszy posłuchu w „sferach wyższych“, abolicjoniści zaapelowali do ludu roboczego, i robotnicy angielscy odpowiedzieli na apel masowym przystąpieniem do ruchu. W r. 1883 doroczny kongres związków zawodowych (trade-unionów) w imieniu przeszło dwuch miljonów robotników zorganizowanych żąda natychmiastowego zniesienia nadzoru nad prostytucją.

Drogą niezliczonych zgromadzeń ludowych, manifestacji, broszur i odezw w krótkim względnie czasie abolicjoniści potrafili pozyskać dla swej sprawy najszersze masy ludowe. Wyniki propagandy abolicjonistycznej były wprost zdumiewające. W ciągu lat pięciu zgłoszono do parlamentu 18,068 petycji abolicjonistycznych podpisanych przez 2,657,348 obywateli. Reglamentarzyści, prowadząc zaciekłą kontr-agitację, zdołali w tym czasie zgromadzić zaledwie 83 petycje z 3833 podpisami, z których 1112 było wymuszonych od prostytutek.

Szesnaście lat bez przerwy trwała walka, lecz abolicjonizm zwyciężył. Prawo uświęcające reglamentację zostało cofnięte.

Inicjatorką i duszą ruchu abolicjonistycznego była Józefina Butler (czyt. Betler). Nieustraszona agitatorka odwiedziła kolejno Amerykę i kontynent Europy, wszędzie nawołując do walki z reglamentacją i zakładając związki abolicjonistyczne. Pod gradem kamieni i błota jakim ją obrzucano, popierana jedynie przez garstkę przyjaciół i przez lud, występowała wszędzie w obronie pokrzywdzonych. Powoli abolicjonizm zyskiwał sympatję. Wielu z wybitnych ludzi ówczesnych wyraziło swą szczerą sympatję i uznanie dla młodego ruchu. Zewsząd płynęły słowa zachęty.

„Protestujcie, opierajcie się — dajcie wyraz swemu oburzeniu! Wszystkie serca szlachetne, wszystkie umysły

wzniosłe będą po waszej stronie“ — mówił Wiktor Hugo w liście, pisanym do abolicjonistów.

Mazzini pisał do abolicjonistów, walczących w Angji: „Nie wątpię, że wam się powiedzie obalenie hańbiącej ustawy parlamentu. Czyżby w waszej Izbie Gmin nie było już ludzi, których potworne widmo plag fizycznych nie zdołało jeszcze sprowadzić z drogi sprawiedliwości i wierności zasadom? Ale jeżeli i ci was opuszczą— to pozostanie Wam lud. Podczas głodu w Lancashire (Lankaszir) robotnicy angielscy dowiedli, jak wiele uczynić mogą dla sprawy deptanych i uciskanych. Odwołajcie się tedy do ludu“.

Widzieliśmy wyżej, że robotnicy nie odmówili swej pomocy dziewczętom ulicy.

Abolicjoniści wszędzie zwracali się do robotników, i wszędzie robotnicy słuchali ich z entuzjazmem i przystępowali do ruchu. We Włoszech robotnik Giusseppe Nathan, przywódca wolnomularzy, całe swe życie oddał sprawie pokrzywdzonych. Imię jego proletarjat znać i pamiętać powinien.

W r. 1875 powstała Międzynarodowa Federacja Abolicjonistyczna. Świat robotniczy z radością ją witał.

W r. 1876 kongres robotników włoskich w Genui, na którym było reprezentowanych 1,600 stowarzyszeń robotniczych, wyraził swoje uznanie Federacji i wezwał cały proletarjat międzynarodowy do współdziałania z nią w sprawie zniesienia niewolnictwa kobiet białych.

Dotychczas abolicjonizm zwyciężył w następujących krajach: Anglja, Hollandja, Norwegja, Szwajcarja, Finlandja. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej abolicjoniści nie dopuścili do wprowadzenia reglamentacji. We Włoszech pod wpływem agitacji abolicjonistycznej reglamentacja utraciła swój dotychczasowy charakter, została znacznie złagodzoną. Nawet we Francji, abolicjonizm w ostatnich latach zyskuje coraz więcej sympatji, gdy tk. zw. „Policja obyczajów“ spotyka się coraz częściej z wyrazem oburzenia całego społeczeństwa. Wciąż powtarzają się wypadki napastowania przez ajentów dziewcząt uczciwych. W Lionie ajenci zatrzy-

mują na ulicy pewną młodą kobietę, która rozpaczliwie się broni, stara się wyrwać. Szarpana na wszystkie strony, pada— jej nogi trafiają pod przejeżdżający właśnie omnibus. Nie bacząc na protest obecnej przy tym publiczności, ajenci rzucają kobietę do fiakra i uwożą. Gdy jadą brzegiem Rony, kobieta wyrywa się z rąk trzymających ją ajentów i rzuca się do rzeki. Inna znowu kobieta w chwili, gdy w drzwiach jej mieszkania ukazał się ajent policji, rzuca się przez otwarte okno i znajduje śmierć na bruku ulicznym. Wolała nie żyć wcale, niż żyć z piętnem hańby na czole. I takie fakty wciąż się gromadzą. Gdy w r. 1903, podczas strajku robotników w Rennes (Renn), z rozporządzenia Policji Obyczajów strajkujące robotnice zostały przemocą poddane oględzinom lekarskim, powszechne oburzenie nie miało granic. Ówczesny prezes ministrów Combes (Komb) wyznaczył wtenczas specjalną komisję, która musiała wydać sąd o reglamentacji.

Komisja przyszła do takich wniosków.

1. Z punktu widzenia prawa karnego prostytucji nie należy uważać za przestępstwo.

2. System reglamentacji jest bezsilny w walce z chorobami wenerycznemi.

3. Z chorobami wenerycznemi walczyć należy drogą uświadomienia ogółu co do istoty tych chorób i uprzystępnienia leczenia dla wszystkich chcących się leczyć (np. ambulatorja bezpłatne, rozszerzenie szpitalnictwa i t. d).

Niedawno mieliśmy sposobność posłyszeć opinję społeczeństwa rosyjskiego w tej sprawie. Pierwszy Zjazd wszechrosyjski w sprawie prostytucji absolutną większością głosów przeciwko dwum wypowiedział się stanowczo przeciw reglamentacji oraz istnieniu domów publicznych.

W sferach lekarskich reglamentacja znajduje dziś coraz to mniej obrońców, gdyż, oprócz szkody, reglamentacja żadnej korzyści nikomu nie przyniosła. Żadna statystyka nie dowiodła tego w sposób niezbity, że reglamentacja wpłynęła na zmniejszenie się ilości zarażeń wenerycznych. Przeciwnie, wiemy, że w krajach, gdzie reglamentacji oddawna już

niema (Anglja), stan zdrowotny ludności odnośnie do tych chorób jest znacznie lepszy, niż w krajach, gdzie reglamentacja w swej klasycznej postaci trwa dotąd bez przerwy (np. Francja, Rosja). W Chrystjanji (Norwegja) po zniesieniu reglamentacji ilość zarażeń wenerycznych nie wzrosła, lecz się znacznie zmnieszyła (Blaschko). Stwierdził to pewien lekarz, zdecydowany zwolennik reglamentacji.

Reglamentację uważać musimy zc *bezcelową*, a w zastosowaniu do prostytutek — za *niesprawiedliwą*. A to dla tego, że:

1) Kontroli podlegają wyłącznie prostytutki, gdy mężczyźni, korzystający z usług prostytucji, żadnej kontroli nie podlegają. Prostytutkom nie wolno zarażać mężczyzn. Pytamy, kto upoważnił mężczyzn do zarażania prostytutek? Chora prostytutka musiała się kiedyś zarazić od chorego mężczyzny, przecie nie zachorowała od tego, że ją „prostytutką“ nazwano! Źródłem zarazy jest mężczyzna, gdy kobieta jest tylko pośredniczką w jej przenoszeniu. Wobec tego czyż jest logicznie i sprawiedliwie całą hańbę reglamentacji zwalać na prostytutkę wyłącznie?

2) Kontroli podlega bardzo mała część prostytutek. Ogólna ilość zaregiestrowanych prostytutek w państwie wynosi zaledwie 25,660, w tym na Król. Polskie przypada 2,512. Jest to kropla w morzu prostytucji. W Warszawie na przypuszczalną ilość 25 tysięcy kobiet, trudniących się prostytucją, zapisanych w kontroli jest zaledwie 1127!

3) Oględziny lekarskie nigdy nie dają zupełnej gwarancji, że dana prostytutka jest zdrową. Pieczątka „zdrowa“ nie dowodzi bynajmniej, że prostytutka jest wolną od zarazy wenerycznej.

Pewien lekarz po osobistym zbadaniu prostytutki miał z nią stosunek płciowy i zaraził się syfilisem. Przypuszczać należy, że zbadał ją przedtym uważnie, a jednak nie ustrzegło go to od zarażenia.

Oględziny prostytutek w dzisiejszych warukach mają jeszcze mniejsze znaczenie, gdyż na zbadanie każdej kobiety

lekarz poświęca od 2 do 3 minut zaledwie. Jest to czas stanowczo zakrótki, by można było zbadać prostytutkę sumiennie.

4) Chore prostytutki nie są leczone, a zaleczane, są one przedwcześnie wypuszczane ze szpitala. „Dzisiaj wrzód pierwotny zgojony — jutro chora opuszcza szpital; dziś przyschły sączące kłykciny, nazajutrz jest ona wolną“ — to są słowa specjalisty i słynnego obrońcy reglamentacji — prof. Tarnowskiego. Dziś w szpitalu usuwa się tylko zewnętrzne objawy choroby. Tymczasem dla tego, by prostytutkę chorą na przymiot (syfilis) uczynić nieszkodliwą dla otoczenia, potrzebna jest conajmniej 2—3-letnia kuracja; paru tygodni jest stanowczo zamało.

5) Prostytutka w domu publicznym zaraża się znacznie prędzej, niż mieszkająca oddzielnie. Procent chorych między prostytutkami, mieszkającemi w domach publicznych, jest trzy razy większy, niż między prostytutkami wolnemi (Giedroyć). Dom publiczny daje prostytutce pewną gwarancję zarażenia się syfilisem.

Według obliczeń Giedroycia w Warszawie 93,72% prostytutek zaraża się syfilisem w ciągu pierwszych trzech lat swego pobytu w domu publicznym. A jednak pp. reglamentarzyści ze spokojnym sumieniem chcieliby wszystkie prostytutki pozamykać w domach publicznych. Wydawać sądu o tym doprawdy nie chcemy...

Widzieliśmy wyżej, jakie stanowisko zajął proletarjat wobec haseł, głoszonych przez abolicjonistów. Jasne, że proletarjat nie mógł i nigdy nie może stanąć w obronie reglamentacji i domów publicznych. Zawsze będą one miały w proletarjacie śmiertelnego wroga. W parlamentach europejskich jedyna partja robotnicza—socjal-demokratyczna—zawsze wypowiadała się stanowczo przeciwko reglamentacji — inaczej nie mogła. Socjalizm dąży do takiego ustroju społecznego, w którym prostytucja, jako zjawisko masowe, nie da się pomyśleć. W ustroju socjalistycznym, do którego zdąża proletarjat, nie będzie warunków, zmuszających kobietę zarabiać

na życie swym ciałem. Zada on prostytucji cios śmiertelny, gdyż usunie podłoże, na którym ona się pleni.

Dla tego właśnie, że socjaliści zajmują z natury swej tak radykalne stanowisko względem prostytucji, program Federacji Abolicjonistycznej zadowolić ich nie może. Obalając reglamentację, abolicjonizm formalnie zdejmuje łańcuch przykuwający kobietę do prostytucji, ale kobiety z prostytucji nie wyzwala; nie wpływa również na zmniejszenie się ilości prostytutek i tworzenie się nowych.

Nie wystarcza wyrwać prostytutkę z rąk reglamentacji. Trzeba ją wyrwać z domu publicznego, trzeba ją zabrać z ulicy, — podnieść ją jako pracownicę i obywatelkę! Spełnić to wszystko może szeroka samopomoc społeczna, oparta na zdrowych podstawach.

Wpływać na zmniejszenie prostytucji można nawet w ustroju dzisiejszym. Wszystko, co podnosi dobrobyt klas wydziedziczonych, wszystko, co wpływa na zmianę poglądów etycznych w kierunku większego ukochania w samym sobie i w innych Człowieka, wpływa zarazem na zmniejszenie się popytu i podaży na rynku prostytucji.

Ochrona pracy, skrócenie dnia roboczego, opieka nad dziećmi, nieślubnemi zwłaszcza, swoboda słowa, druku, związków zawodowych, stowarzyszeń, uregulowanie kwestji mieszkaniowej — wszystko to są niezbędne warunki, by z prostytucją walczyć można było skutecznie. Wszystko to partja proletarjacka ma w swoim programie, każde jej zwycięstwo przybliża chwilę wyzwolenia kobiety z piekła prostytucji dzisiejszej.

A. Rząśnicki.

Rewizjonizm „z lewa".

(J. Sorel, jako krytyk marksizmu).

I.

Zwykle nazwa „rewizjonizm" bywa u nas stosowana do oportunistycznego kierunku w marksizmie, reprezentowanego przez E. Bernsteina.

Tkwi w tym jednak pewna nieścisłość. Co prawda, Bernstein jest najbardziej konsekwentnym przedstawicielem rewizjonizmu. Rewizjonizmem jednak (w stosunku do marksizmu) jest każdy kierunek społeczny, który powstał drogą rewizji światopoglądu Marksa—Engelsa. Rewizja zaś bywa dokonywana nietylko przez ludzi, którzy krytykują marksizm, jako światopogląd zbyt — ich zdaniem — rewolucyjny, lecz i przez zwolenników wręcz przeciwnego kierunku. Do tych ostatnich należą dawni „młodzi" marksiści niemieccy, dziś— Frydberg i jego zwolennicy, oraz francuscy i włoscy syndykaliści.

Niedawno miałem sposobność przdstawić w innym miejscu stosunek, zachodzący pomiędzy marksizmem a rewizjonizmem kierunku Bernsteina, który słusznie może być nazwany rewizjonizmem „z prawa". Artykuł niniejszy poświęcam rewizjonizmowi „z lewa". Rozpatrzę w nim teorję syndykalizmu, która jest u nas w ostatnich czasach energicznie kolportowana przez burżuazyjnych publicystów rozmaitych kierunków.

Nie będę się wdawał w charakterystykę całego ruchu syndykalistycznego, gdyż takowa wymaga osobnego artykułu i jest u nas mniej więcej znana.

Wezmę za wzór poglądy Jerzego Sorela, streszczę je i poddam krytyce. Poglądy bowiem jego bywają często przezeń wypowiadane w imieniu t. zw. „nowej szkoły", t. j. teo-

retyków syndykalizmu. Jest on przytym najbardziej poważany wśród tych ostatnich i odznacza się największą wszechstronnością i zasobem wiedzy, chociaż posiada umysł chaotyczny i poglądy, pełne sprzeczności.

We wstępie do rosyjskiego wydania swego dzieła „Szkice socjalne ekonomji współczesnej“ Sorel sam pisze, iż w jego poglądach i całym stanowisku. jakie w tej książce zajmuje, w porównaniu z jego innym dziełem, wydanym w niewielkim odstępie czasu—„Rozmyślania o gwałcie“ — daje się zauważyć bardzo znaczna różnica. To samo daje się zauważyć przy poznaniu innych jego utworów, jak, naprz., „Ewolucja socjalizmu“, „Krytyka marksizmu“, „Złudzenia postępu“, „Marksizm a wiedza społeczna“.

Pochodzi to z braku u Sorela ściśle określonej metody badania, z wpływu, jaki wywarły na wrażliwym jego umyśle rozmaite systemy filozoficzne, z tego wreszcie, że system Bergsona, który wywarł nań wpływ największy, sam zawiera w sobie zasadnicze sprzeczności.

Podstawowe poglądy Sorela, które dadzą się scharakteryzować na zasadzie jego głównych utworów, poświęconych bezpośrednio kwestji społecznej, mogą być streszczone w sposób następujący:

W marksizmie Sorel rozróżnia poglądy dwojakie: 1) jedne—zgodne z wynikami nauki i doświadczenia—to pierwotne poglądy Marksa, to oryginalny, dodatni pierwiastek w marksizmie; 2) drugie—jednostronne, nieuzasadnione.

Podstawową zasadą marksizmu jest zdanie K. Marksa, że „człowiek sam tworzy swą historję“. Stąd wynika pogląd zasadniczy Marksa, pogląd, który przezeń po raz pierwszy został wygłoszony i uzasadniony. Natomiast ujemną stroną marksizmu jest ten fatalizm, jaki się objawia u Marksa w badaniu rozwoju kapitalistycznego. Bernstein, zdaniem Sorela, ma rację, gdy twierdzi, że rozwój ten odbywa się nie tak szybko, jak Marks przedstawia, i że przewrót społeczny nie dokona się sam przez się. Koncentracja kapitałów (szczególnie w rolnictwie) bowiem posuwa się bardzo wolno, tak samo

jak rozwój antagonizmów klasowych. Kolosalny rozwój sił wytwórczych w przemyśle w ciągu ostatnich lat 50 dowiódł wyraźnie, że niesłuszne jest zdanie, jakoby burżuazja stopniowo traciła zdolność kierowania produkcją.

U klasy znów robotniczej zdolność ta nie rozwija się bez energicznej w tym kierunku działalności społecznej. Świadomość zaś bardzo powoli ogarnia masy robotnicze, gdyż na przeszkodzie rozpowszechnieniu tej świadomości stoją pozostałe w ich psychice przeżytki przeszłości, czego Marks całkiem nie uwzględnił.

Rozmaite też istniejące dziś instytucje i idee są nierównie trwalsze, niż Marks przypuszczał. Przewidywał on, naprz., upadek państwa; ono zaś, przeciwnie, wciąż się wzmaga. To też i przepowiedziana przez Marksa katastrofa socjalna nie może być uważana za mający nastąpić fakt historyczny. Dziś już nikt o niej poważnie nie myśli.

Fatalizm, który się daje zauważyć w poglądach Marksa, jest pierwiastkiem bardzo szkodliwym, usuwa bowiem na dalszy plan pierwiastek twórczy, który jest oryginalną cechą marksizmu i posiada ważne znaczenie w historji ludzkości. Nie jest jednak ów fatalizm wynikiem metody djalektycznej, jak to się zdaje Bernsteinowi; zawdzięcza zaś swe istnienie tej okoliczności, że Marks badał prawie wyłącznie rozwój kapitalizmu w Anglji, i przytym w pewnym okresie historycznym; rozwój zaś ten w innych krajach przyjął nieco odmienny charakter. Lecz ta ujemna strona marksizmu z łatwością może być usunięta; należy tylko uprzytomnić sobie, że nie jest on nagromadzeniem wskazówek politycznych, lecz jest pewnego rodzaju światopoglądem filozoficznym, który przedstawia rozwój społeczny w symbolach. Jego katastrofa socjalna—to tylko mit socjalny,—to jaskrawy obraz, przedstawiający nam kierunek, w którym odbywa się rozwój tegoczesnych społeczeństw ku socjalizmowi, to tylko— szkic artystyczny, i nie wolno ani jednej linji tego szkicu rozpatrywać, jako faktu historycznego, który ma się dokonać. Katastrofa socjalna Marksa może być postawiona na równi z ka-

tastrofą, oczekiwaną we wszechświecie przez chrześcijan pierwotnych. Ten obraz stworzony przezeń posiada wielkie znaczenie rewolucyjne; pobudza masy robocze do czynu, wskazuje im drogę, którą mają kroczyć do wyrobienia.

II.

Zdaniem Sorela, dzisiejsi zwolennicy Marksa źle go rozumieją, tłumaczą jego poglądy dosłownie i przez to pozbawiają ich wszelkiej naukowej wartości. Są oni właśnie zwolennikami nie Marksa, lecz Engelsa, który wypaczył poglądy swego przyjaciela. W „Anti-Dühringu" Engels występuje jako materjalista, hołduje teorji, która nie odpowiada najnowszym wynikom nauki. Konieczność przewrotu społecznego wyprowadza z metafizycznej formuły Hegla, że każde zjawisko w rozwoju wszechświata posiada charakter wręcz odmienny od uprzedniego — jest jego przeczeniem. W swej historji rodziny trzyma się postarzałych poglądów Morgana. Marksiści zaś dzisiejsi idą jeszcze dalej. Oto Kautsky maluje dokładnie obraz społeczeństwa nazajutrz po przewrocie społecznym; w innym miejscu, mówiąc o rodzinie, wypowiada się tak, jak gdyby sądził, że może się rozwinąć doskonalsza forma rodziny od monogamicznej.

Powszechnie też panuje wśród nich zdanie, że religja musi zaniknąć. Tymczasem zdanie to jest całkiem bezpodstawne; religja nie zaniknie, a tylko ulegnie w swym rozwoju pewnym zmianom; zostanie oczyszczoną od pozostałości magji; nie może ona nigdy zaniknąć u natur bardziej subtelnych, stojących ponad masą ludności, dzięki swym przymiotom duchowym.

Lecz najgorsze, zdaniem Sorela, jest to, że metoda dzisiejszych marksistów jest całkiem nienaukowa. „Prawdziwa nauka" stawi zawsze cele najbliższe i szuka środków najskuteczniejszych. Epoka obecna „wymaga literatury bardziej umiarkowanej, niż uprzednia". I pod tym względem Marks położył wielkie zasługi. Lecz jego dzisiejsi zwolenicy „śnią o celach nienaukowych, leżących poza zakresem naszej

władzy"... „Przy dzisiejszym stanie przemysłu, np., dałoby się skrócić dzień roboczy o 1 godzinę; oni zaś żądają skrócenia go do 8 g., nie popierając tego żadnemi argumentami z dziedziny technologji, nie myśląc o środkach wykonania, nie wchodząc w możliwe skutki, jakie stąd wypłyną dla przemysłu".

Czy jest to oznaką rewolucyjności, bezwzględnego oddania się interesom mas? Bynajmniej. Marksiści dzisiejsi pochodzą z inteligiencji i mają na widoku przedewszystkim jej interesy. W sprawie polepszenia bytu mas na dziś bywają oni radykalni — często zresztą ze względów demagogicznych. Natomiast nie czynią nic dla sprawy całkowitego wyzwolenia proletarjatu. Od czasu gdy zdobywanie miejsc w parlamencie stało się możliwym, wyrzekli się oni poglądu Marksa na państwo — skierowali wszystkie swe starania na wzmocnienie tej burżuazyjnej instytucji, zajęli się wyłącznie polityką parlamentarną. Od państwa oczekują i polepszenia bytu robotników na dziś i dokonania przewrotu społecznego. W tym celu dążą do zawładnięcia maszyną państwową. Stąd dążenie nietylko do zdobycia miejsc w parlamencie, lecz i do posad w ministerjach i innych instytucjach władzy wykonawczej. Stąd — wzrost patryotyzmu i wśród socjalistów i w masach. Dla walki zaś parlamentarnej tworzą oni nie klasowe organizacje proletarjatu, lecz partje polityczne socjalistyczne, obejmujące w swych szeregach, oprócz robotników, rozmaite inne żywioły społeczne.

Skutki takiej polityki, zdaniem Serela, są bardzo szkodliwe zarówno dla rozwoju kapitalizmu jak dla sprawy wyzwolenia klasy robotniczej. Kapitalizm może się rozwijać tylko wtedy, gdy burżuazja z całą energją oddaje się walce konkurencyjnej, gdy na śmierć i życie walczy z klasą robotniczą, gdy, jednym słowem, walka klas wre zawzięcie, gdy życie obu klas silnie pulsuje.

Tymczasem polityka parlamentarna zbliża je ku sobie, łagodzi ich stosunki wzajemne, prowadzi do reform społecznych, które stwarzają nadzieję radykalnego polepszenia by-

tu robotników drogą pokojową i odwracają ich uwagę od ich celu ostatecznego. Nie dość na tym: polityka ta czyni robotników ślepym narzędziem w ręku inteligiencji. Wskutek tego, gdyby nastąpiła oczekiwana przez marksistów dyktatura proletarjatu, władza znalazłaby się w ręku inteligiencji nie zaś robotników, ci ostatni staliby się z niewolników burżuazji niewolnikami inteligiencji, nielitościwie przez nią wyzyskiwanemi.

Zamiast stwarzania pierwiastków nowego życia marksiści — zdaniem Sorela — wzmacniają podstawy istniejącego ustroju.

Całkiem odmienna jest taktyka zwolenników „nowej szkoły“. Nie przyjmują oni udziału w walce parlamentarnej; uznają za niemożliwe zużytkowanie starych instytucji burżuazyjnych w interesach klasy robotniczej, tworzą natomiast instytucje przyszłości. Są niemi—syndykaty (związki zawodowe). Kształcą one masy rewolucyjnie, wyrabiają w nich zdolności administracyjne, stwarzają w ich świadomości i uczuciach pierwiastki prawa przyszłości. Drogą *akcji bezpośredniej*—bezpośredniego nacisku szerokich mas na ustrój tegoczesny, czy to za pomocą strajków, czy też jakich bądź innych środków, wywalczą one polepszenie bytu klasy robotniczej i stopniowo ujmą w swe ręce środki produkcji i uregulowanie całego życia społecznego.

To ważne znaczenie syndykatow potęgują t. zw. mity społeczne, a z pośród nich—przedewszystkim *idea strajku powszechnego* oraz przeświadczenie mas, że wyzysk klasowy, jaki one cierpią, może być usunięty tylko drogą *gwałtu.*

Jeżeli się okaże, że obraz strajku powszechnego jest fantastyczny, że *strajk ten nigdy nie nastąpi,* i w takim razie *jednak*—twierdzi Sorel—*przyniesie on wielką korzyść sprawie rewolucji*—odegra potężną rolę w okresie przedrewolucyjnym, da silny impuls do rozwoju walki klasowej robotników, będzie oświecał im drogę do uzyskania lepszej przyszłości, będzie współdziałał ich przeobrażeniu się moralnemu.

Należy jednak odróżnić strajk powszechny polityczny od strajku powszechnego proletarjackiego.

Pierwszy—polityczny—może mieć następstwem ulepszenie państwa, wzmocnienie władzy inteligiencji—jej dyktaturę i szereg gwałtów i bezprawi, jakie będą jej wynikiem; drugi—proletarjacki—poprowadzi do usunięcia drogą gwałtu państwa oraz ustroju kapitalistycznego, zamiany jego przez ustrój proletarjacki i, co zatym idzie, zniszczenia gruntu dla wszelkiego wyzysku i gwałtu.

Zatym cechą charakterystyczną poglądów Sorela i większości teoretyków syndykalizmu jest:

Uznanie walki klas, jako siły całkiem niezależnej, za jedyny środek do wyzwolenia klasy robotniczej, i syndykatów, jako instytucji organizujących tę walkę i mających w przyszłości ująć w swe ręce kierownictwo produkcją i całym życiem społecznym, oraz idei strajku powszechnego, którą Sorel przedstawia jako mit społeczny, potęgujący i regulujący ową walkę.

III.

Rewizja marksizmu, dokonana przez Sorela i jego towarzyszy, jest moim zdaniem, również niefortunna, jak dokonana uprzednio przez E. Bernsteina. Główną przyczyną błędów przedstawicieli obu kierunków rewizjonizmu jest niezrozumienie przez nich metody djalektycznej Marksa—Engelsa. Sorel jednak jest przezorniejszy i ostrożniejszy od swego poprzednika: nie godzi on bezpośrednio w tę rdzeń teorji marksistowskiej, jak gdyby czując, że jej nie zgłębił.

Niezrozumienie przez Sorela djalektycznej metody marksizmu ujawnia się już w odrzuceniu przezeń materjalizmu, jako filozofji wszechświata, oraz w przeciwstawieniu Marksa Engelsowi.

Marks uznaje najzupełniej istnienie, niezależnie od naszej świadomości, świata rzeczowego. Korzystając z metody djalektycznej Hegla, przeciwstawia on heglowskiemu idealistycznemu światopoglądowi — swój materjalistyczny.

Badając społeczeństwo ludzkie w jego rozwoju, rozpa-

truje takowy jako pewien moment w rozwoju całego wszechświata, świadomość zaś, jako nieunikniony wynik tego rozwoju na pewnym jego stopniu.

Marks niejednokrotnie wskazuje w swych dziełach, że nietylko społeczeństwo ludzkie, lecz cały wszechświat rozwija się drogą nieustannych walk, odbywających się w jego łonie. Wielką zasługą Marksa i Engelsa jest to, że razem z tym wykazali oni specyficzne cechy walki, odbywającej się w społeczeństwie ludzkim, że, zgodnie z zasadami swej metody, rozpatrywali ją, uwzględniając warunki miejsca i czasu, że do swych wniosków dochodzili drogą analizy konkretnych warunków życia ludzkości.

Stąd djalektyka Marksa—Engelsa różni się zasadniczo od djalektyki Hegla. Sorel nie uwzględnił tego. I dla tego nie zrozumiał, iż Engels wyprowadza swój wniosek o konieczności przewrotu społecznego nie z samej formuły Hegla, lecz z analizy kapitalistycznego rozwoju, dokonanej za pomocą jego metody, przeobrażonej przez Marksa. I dla tego Sorel, charakteryzując marksizm, lubi powoływać się na pierwszą część znanego zdania Marksa, znajdującego się w 2-im wstępie do I tomu „Kapitału“, że *„człowiek sam tworzy swą historję“*,—zapominając całkiem o drugiej części tego zdania, głoszącej, że tworząc swą historje w walce o byt i *oddziaływając* w tej walce *„na przyrodę zewnętrzną, człowiek jednocześnie zmienia swą własną wewnętrzną przyrodę“*,—zapominając, że właśnie dzięki temu rozwój idei, psychiki, wszelkich instytucji, prawa, religji, nauki i sztuki odbywa się w zależności od rozwoju sił wytwórczych i stosunków wytwórczych, które powstają w walce o byt społeczeństw ludzkich. Dla tego Sorel chwyta się kilku słów Marksa, nie uwzględniając całości jego poglądów, wypowiedzianych i w „Kapitale“ i w „Krytyce ekonomji politycznej“ i w „Świętej Rodzinie“ i w wielu innych jego utworach.

Dzięki niezrozumieniu metody Marksa, dzięki jednostronności, jaką Sorel ujawnił w pojmowaniu materjalizmu dziejowego, rozpatruje on walkę klas, jako czynnik całkiem

samoistny. Tymczasem Marks widział w niej tylko pewien okres rodzaju walki o byt, jaka toczy ludzkość w ciągu wielu tysięcy lat i dobitnie wyjaśnił, że powstała ona tylko wtedy, gdy wskutek rozwoju sił wytwórczych nastąpił podział pracy, a zatym podział społeczeństwa na klasy, że i w rodzaju swym walka klas jest zależną od rozwoju sił wytwórczych. Dalej, Marks i marksiści, jak np. Engels i Kautsky, jak u nas L. Krzywicki, wyjaśnili ujemny wpływ przeżytków przeszłości na rozwój walki klas, jak również na rozwój idei głoszącej tę walkę, oraz wszystkich innych idei. To też Sorel nie ma racji w swych zarzutach, które czyni pod tym względem Marksowi i marksistom. Co się tyczy natomiast jego własnych poglądów na walkę klas, to tkwi w nich wiele sprzeczności. Zaznacza on, że w chwili obecnej daje się zauważyć osłabienie walki klas i sądzi, że jest to wynikiem kapitalistycznego rozwoju, który Marks zbadał i ocenił jednostronnie i przez to sam uzależnia rozwój walki klas od rozwoju sił wytwórczych.

Zależność walki klas od tego czynnika, od którego zależy rozwój całej kultury ludzkiej, dałaby się udowodnić bardzo wielu faktami z historji ludzkości. Oto, np., w Anglji w ciągu kilkudziesięciu lat walka robotników z przedsiębiorcami rozwijała się bardzo słabo, wskutek czego nawet tak wybitni działacze jak Hyndman i Mann niejednokrotnie czynili zarzuty robotnikom angielskim, iż niezrozumienie, że socjalizm prowadzi klasę robotniczą do wyzwolenia, jest specjalną ich wadą. Ow zastój w ruchu robotniczym angielskim był właśnie wynikiem rozwoju sił wytwórczych Anglji. W ciągu bowiem tego okresu, w którym świadomość klasy robotniczej tak słabo się objawiała, przemysł angielski znajdował się w wyjątkowo dogodnych warunkach. Burżuazja, dzięki silnemu popytowi na wyroby przemysłu, unikała wszelkich zatargów z robotnikami, któreby mogły odbić się ujemnie na rozwoju produkcji, i chętnie zadawalniała ich żądania, tym bardziej, że kolosalne dochody, jakie wówczas otrzymywała, stokrotnie

wynagradzały jej ustępstwa, czynione na korzyść robotników. Łatwość zaś, z jaką robotnicy polepszali swój byt w tym okresie, czyniła ich obojętnemi na walkę o całkowite wyzwolenie klasowe. Lecz „złote“ lata przemysłu angielskiego minęły, i jednocześnie z tym dało się zauważyć ożywienie w ruchu robotniczym angielskim.

Sorel sądzi, na podstawie wrażeń chwilowych, że rozwój kapitalizmu nie zaognia walki klas i że trzeba ją rozbudzać za pomocą środków sztucznych, i tym wyraźnie ujawnia niezrozumienie podstawowej zasady marksizmu, według której każde zjawisko należy rozpatrywać w jego rozwoju: tendencje, które się objawiają czasowo, uważa on za stałe. Widoczną też jest w tym słaba jego znajomość rozwoju ekonomicznych społeczeństw tegoczesnych. W swej ocenie analizy rozwoju kapitalistycznego, dokonanej przez Marksa, zgadza się on z Bernsteinem, gdy twierdzi, że i koncentracja kapitałów, i proletaryzacja, i rozwój antagonizmów klasowych odbywa się nie tak szybko, jak się to wydawało Marksowi. To też nie będę się zatrzymywał nad temi błędami Sorela, które już skrytykowałem, pisząc o Bernsteinie. Przypomnę tu tylko, że te fakty, które Kautsky przeciwstawia Bernsteinowi, są przezeń zaczerpnięte z rozwoju ekonomicznego nie samej tylko Anglji w pewnym okresie historycznym (o co on oskarża Marksa), lecz i z rozwoju Niemiec, Francji, Ameryki w rozmaitych okresach czasu. Krytyka więc, skierowana przeciwko Bernsteinowi, może być w tym wypadku całkiem słusznie zastosowana do Sorela. Ten ostatni też tak samo bezpodstawnie, jak i Bernstein, oskarża Marksa o fatalizm, tak samo fałszywie przedstawia pojęcie „katastrofy socjalnej“. Jego zaś symboliczne tłumaczenie marksizmu jest całkiem obce duchowi materjalistycznego światopoglądu Marksa i jego metodzie dokładnej, głębokiej analizy rozwoju stosunków społecznych.

Wychodząc jednak z tych samych, co Bernstein, założeń, dochodzi Sorel do wręcz przeciwnych wniosków. Odsądza on od czci i wiary marksistów dzisiejszych za to, że

przyjmują udział w instytucjach państwowych, wtedy gdy państwo jest burżuazyjne, że walczą o reformy społeczne, że nie rozbudzają walki klas, do której zaniku, jak sądzi, prowadzi rozwój społeczeństw kapitalistycznych; twierdzi nawet, że tego rodzaju polityka paraliżuje rozwój kapitalizmu i sprawę wyzwolenia klasy robotniczej; widzi wreszcie w tym sprzeniewierzenie się Marksowi, który dowodził konieczności zaniku państwa.

I pod tym względem jednak Sorel popełnia błąd kardynalny w pojmowaniu marksizmu i w ocenie działalności marksistów. Marks, w zupełnej zgodzie ze swą metodą, rozpatrywał państwo, jako zjawisko historyczne. Powstaje ono, jego zdaniem, wtedy gdy walka o byt społeczeństw ludzkich stała się bardziej skomplikowana, gdy nastąpił podział pracy, podział ludzkości na klasy, gdy rozpoczęła się walka klas; powstało ono dla obrony wytwórców, dla regulowania wytwarzania, oraz dla walki klasowej; państwo zaniknie dopiero wtedy, gdy zanikną przyczyny, które powołały go do życia, gdy dzisiejsze społeczeństwo klasowe zostanie zamienione przez nowy bezklasowy ustrój społeczny.

Lecz dzisieja władza państwowa jest dyktaturą klasową burżuazji, która stoi na straży społeczeństw klasowych, i dla tego, aby został wprowadzony nowy ustrój społeczny, władza, zdaniem Marksa, powinna przejść do rąk klasy robotniczej. Dopiero dyktatura proletarjatu, jak twierdzą Marks i Engels w „Manifeście komunistycznym“, będzie ostatnią formą władzy państwowej, i gdy dokona swego zadania, zniszczy samą siebie, a razem z tym wszelką władzę tego rodzaju i położy kres istnieniu państw. Państwo więc jest niezbędnym w ustroju kapitalistycznym, a zamiana tego ustroju na inny może być dokonana skutecznie tylko przez władzę państwową, zużytkowaną w tym celu przez klasę robotniczą. W przyszłym ustroju państwo zostanie zastąpione przez międzynarodowy organizm społeczny; podłoże ekonomiczne dlań przygotowuje już dziś rozwój produkcji na ry-

nek wszechświatowy. Władza zaś państwowa ustąpi wtedy miejsca instytucjom, których zadaniem będzie regulowanie produkcji i podział jej wytworów.

Wobec tych, wskazanych przez marksizm, wyników rozwoju sił wytwórczych, ideał przyszłego ustroju, nakreślony przez teoretyków syndykalizmu, polegający na przejściu środków produkcji na własność syndykatów, przedstawia się zaściankowym, iście drobnomieszczańskim ideałem.

IV.

Całkiem mylnym jest też pogląd Sorela na walkę klasy robotniczej o reformy społeczne. Bynajmniej nie utrudniają one rozwoju kapitalizmu.

Historja prawodawstwa fabrycznego wykazuje, że, np., skrócenie dnia roboczego nietylko nie osłabia rozwoju kapitalizmu, lecz, przeciwnie, potęguje go; pobudza bowiem fabrykantów do doskonalenia techniki i sposobów produkcji, polepszając znów byt robotników, czyni ich pracę bardziej wydajną. Nie osłabiają też one, jak to mniema Sorel, walki klasy robotniczej z burżuazją. Są i mogą być one tylko wynikiem walki robotników i dla tego nie tamują, lecz rozbudzają tę walkę.

Niemniej błędną jest krytyka parlamentaryzmu. Parlament jest instytucją, wydającą prawa dla całego państwa; jest on główną areną społecznej działalności burżuazji, główną areną walki klas; jego działalność interesuje szerokie masy ludności. Uchylenie się klasy robotniczej od udziału w walce parlamentarnej przyniosłoby korzyść jedynie klasom burżuazyjnym, kierowałyby one wówczas wszechwładnie całym życiem społecznym, nie napotykałyby rzeczowej krytyki swej gospodarki, ich samowola nie posiadałaby granic, położenie mas robotniczych wciąż pogorszałoby się, co paraliżowałoby rozwój ich świadomości i walki klasowej, i, co za tym idzie, oddaliłoby chwilę ich klasowego wyzwolenia.

Co prawda, Sorel powiada, iż walka parlamentarna prowadzi do hegemonji inteligiencji nad klasą robotniczą. Lecz

pogląd ten nie wytrzymuje najsłabszej nawet krytyki. Inteligiencja, jak wszystko na świecie, ulega rozwojowi. Nie stanowi ona odrębnej klasy społecznej. W początku rozwoju kapitalistycznego popyt na pracę inteligientną jest silny, a przez to i położenie materjalne tej kategorji pracowników zbliża ich bardziej do burżuazji, niż do robotników, i w interesach tych ostatnich walczy tylko nieznaczna ich garstka. Lecz, w miarę dalszego rozwoju kapitalizmu, ilość pracowników umysłowych wzrosła, podaż ich pracy przewyższa popyt na nią, ich zarobki szybko się obniżają; wtedy znów położenie ich materjalne wciąż bardziej zbliża ich do klasy robotniczej i pcha do walki o radykalną zmianę ustroju społecznego. A więc bojaźń inteligiencji, jaką spotykamy u Sorela i innych teoretyków tego kierunku, i nienawiść, jaką pałają do niej, rzekomo ze względu na jej szkodliwość dla klasy robotniczej, są zupełnie nieuzasadnione. Łatwo też dostrzec słabą stronę poglądów t. zw. „nowej szkoły" w dziedzinie kwestji organizacyjnej.

Przeciwstawia ona swój typ organizacji robotników w syndykaty—w wysokim stopniu wadliwej, jak sądzi, orgazacji w partję, zalecanej przez marksistów.

Tymczasem uważna analiza charakteru organizacji obu typów musi doprowadzić do wręcz przeciwnych wniosków. Oto, organizacja syndykalistyczna prędzej może, przy pewnych okolicznościach, przyczynić się do rozwoju sekciarstwa i oderwania się od mas robotniczych ich przedniej straży, niż praktykowana, np., w Niemczech organizacja robotników w partję i jednocześnie w klasowe związki zawodowe.

Takie środki walki, jak zalecany przez teoretyków syndykalizmu „sabotaż" *), prowadzą do zastąpienia walki szerokich mas, posiadającej nadzwyczaj ważne następstwa pedagogiczne, przez walkę śmiałej zorganizowanej garstki, używającej środków gwałtownych. Jeżeli w dodatku przypomnimy,

---

*) Psucie przez strajkujących narzędzi pracy w celu wywarcia presji na przedsiębiorców.

że syndykaty francuskie, t. zw. „rewolucyjne“, nie uznają zasady prawa większości, to nie możemy nie przyznać, że organizacje syndykalistyczne nie mogą się poszczycić, iż najbardziej odpowiadają klasowemu charakterowi ruchu robotniczego i mogą się najbardziej przyczynić do jego rozwoju.

Całkiem inaczej przedstawiają się organizacje, tworzone przez marksistów. Są one, jakiem już wskazał, dwuch kategorji. Partja robotnicza skupia w swych szeregach najbardziej świadomą część mas—stanowi organizację, która, jak powiadają Marks i Engels, nie posiada interesów odmiennych od ogółu robotników, lecz tym się różni od innych organizacji robotniczych, iż zawsze ma na względzie interesy proletarjatu w ich całości. Związki zawodowe, natomiast, gdy, rozumie się, są bezpartyjne, obejmują szerokie masy, całą tę ich część, która rozumie, lub nawet tylko odczuwa, że drogą walki najłatwiej polepszy swój byt, — są zdolne objąć całą masę. Już same objektywne warunki robotników, jak również ich walka o interesy codzienne, przyczyniają się do rozwoju świadomości mas robotniczych. Zasada zaś, głosząca, że każdy członek partji powinien należeć do związku zawodowego, sprawia, iż świadomi robotnicy znajdują się w stałym kontakcie z temi masami i pracują w organizacjach zawodowych nad ich uświadomieniem, a przez nich oraz bezpośrednio oddziaływają i na niezorganizowaną część robotników. Wskutek tego kontakt pomiędzy przednią strażą a szerokiemi masami nietylko nie może nigdy osłabnąć, lecz wciąż się wzmacnia. I organizacje tego typu nierównie więcej od syndykatów typu „rewolucyjnego“ mogą się przyczynić do rozwoju ruchu robotniczego i świadomości klasowej. Ta zaś okolicsność, że do partji robotniczej należą jednostki, pochodzące z pośród innych klas, nie pozbawia jej klasowego charakteru, chociaż i może chwilowo przyczynić się do rozwoju w jej łonie kierunków o zabarwieniu drobnomieszczańskim, co zresztą grozi z innych względów i organizacjom syndykalistycznym. Warunki bytu większości członków organizacji partyjnej i ich walka klasowa są gwarancją jej klasowości.

Już to, com dotąd wyjaśnił, analizując poglądy Sorela i reprezentowanej przezeń „nowej szkoły“, jak sądzę, jest całkiem dostateczne dla udowodnienia, że rewizja marksizmu, dokonana przez Sorela, świadczy o niezrozumieniu przezeń światopoglądu, który poddał rewizji i wadliwości poglądów rewizjonistów „z lewa“.

V.

Jednak najbardziej ujemną stroną teorji syndykalizmu jest stworzona przez J. Sorela idea mitu społecznego. Dowodzi ona niezbicie, jak dalekiemi są poglądy Sorela od marksizmu.

Marksizm, stojąc na gruncie ściśle naukowym, buduje swe wnioski na objektywnej analizie rozwoju stosunków społecznych; rozpatruje oddzielne etapy tego rozwoju jako konieczne w ich następstwie; dowodzi, że przewrót społeczny musi nastąpić, nie może nie nastąpić, że jest on koniecznością historyczną. Wskazuje on proletarjatowi drogę, którą krocząc dojdzie najprędzej do wyzwolenia; przyzwyczaja go do całkiem świadomych wystąpień.

Sorel, tworząc swą ideę mitu społecznego, postępuje wręcz przeciwnie. Zamiast głosić wśród mas zasady, oparte na rezultatach analizy naukowej, zamiast współdziałać ich walce samodzielnej, oświetlając im drogę do wyzwolenia jaskrawym światłem wiedzy, stawi przed niemi zadania, w których ziszczalność sam nie wierzy, przyzwyczaja je do walki o ideały, stworzone jedynie na podstawie wrażeń, wskazuje im drogę, na której zostaną one narażone na niezliczone zrządzenia przypadku.

Sorel chce w taki sposób przyczynić się do spotęgowania energji mas roboczych, inicjatywy, zapału, solidarności, wtedy gdy te cechy powstają u robotników pod wpływem warunków ich życia oraz walki o polepszenie ich położenia w teraźniejszości, którą to walkę oni prowadzą nie w imię urojeń, lecz w imię realnych korzyści oraz ideału stanowiącego niezbędny wynik rozwoju dziejowego. Mając na

względzie sprawę klasy pełnej sił żywotnych, zdolnej do bezgranicznego postępu, doradza on jej takie środki wyjścia z ciężkiego położenia, w jakim się ona dziś znajduje, które mogą odpowiadać jedynie potrzebom klas zniedołężniałych, dogorywających, jakiemi już są w znacznej mierze klasy posiadające.

Widocznym tu jest wpływ nań sfer burżuazyjnych i to w okresie dzisiejszym ich uwiądu starczego.

Sorel ostro piętnuje inteligiencję socjalistyczną za jej stosunek do robotników, których rzekomo używa jako narzędzi w walce o władzę państwową. Występując zaś z ideą mitów społecznych, sam ujawnia arystokratyzm ducha w najgorszym znaczeniu tego wyrazu. Stosuje się on do mas robotniczych, jako do tłumu, który staje się zdolnym do akcji społecznej tylko przez zażycie narkotyku, jaki mu w postaci *mitu* „uduchowieni“ bohaterzy łaskawie udzielają.

Arystokratyzm Sorela najjaskrawiej występuje w poglądach na religję, posiadających swe źródło w tym samym podłożu psychicznym, z którego urosła idea *mitów.*

Lecz te poglądy Sorela nietylko nie odpowiadają potrzebom mas robotniczych, lecz są dla nich szkodliwe, przyczyniają się bowiem do powstrzymania rozwoju pierwiastków postępowych w ich psychice i świadomości, właściwego dążenia do samodzielności i rozwoju umysłowego, a do rozniecenia natomiast pierwiastków reakcyjnych, które tlą jeszcze gdzieś w głębi duszy, lecz dzięki wpływowi warunków bytu i światła wiedzy, nie odgrywają roli w życiu tych mas, mogą jednak, przy odpowiednich warunkach, być zużytkowane przez ich wrogów dla chwilowego powstrzymania ich pochodu ku wyzwoleniu z więzów dzisiejszego ustroju.

Każdy objektywny badacz, którego umysł wyzwolił się od przeżytków strupieszałej przeszłości, poznając poglądy Sorela, łatwo dostrzeże, poza stekiem głośnych frazesów, jego nawskroś konserwatywną indywidualność i drobnomieszczański charakter jego ideologji. Przypomnę tu, obok wyżej wskazanych faktów, zachowawczość Sorela w stosunku do

form rodziny. Drobnomieszczański charakter jego poglądów, który tak wyraźnie uwypukla się w świetle jego idei mitów, ujawnia się, między innemi, w jego krytyce żądania 8-godz. dnia roboczego. Uważa on takowe za nieziszczalne z punktu widzenia interesów przemysłu,—sam stwarza tamę dla niezależnej jego zdaniem potęgi — walki klas, — i czyni to w tej chwili, gdy już w niektórych miejscach ono oddawna zostało urzeczywistnione, gdy znawcy stosunków ekonomicznych już wiele razy udowodnili, że wprowadzenie 8-godz. dnia roboczego wszędzie niemal wpłynęło dodatnio na rozwój przemysłu.

Sorel zarzuca marksistom, iż, występując z radykalnemi żądaniami na dziś, negują sprawę ostatecznego wyzwolenia klasy robotniczej.

On zaś sam, zajmując nader umiarkowane stanowisko względem tych żądań, jednocześnie — niezawodnie zresztą, wbrew swej woli, — ujawnia oportunizm myśli w sprawie przewrotu społecznego, której tyle ładnych, rewolucyjnych frazesów poświęca. Jego twierdzenia o nieziszczalności „katastrofy społecznej“, jego teorja mitów społecznych przytępiają ostrza reszty jego poglądów społecznych, działają na burżuazję nie mniej uspakajająco, niż polityka rewizjonistów „z prawa“, mogą też w mniej rozwiniętych umysłach wywołać zniechęcenie do walki o wyzwolenie klasowe robotników. Rewolucyjność słowa i oportunizm myśli — są to cechy charakterystyczne Sorela. Do niego może być całkiem słusznie zastosowane owo zdanie, że o stronnictwach należy sądzić nie na podstawie tego, co one same o sobie głoszą, lecz na podstawie wyników ich działalności.

Inni teoretycy syndykalizmu nie nadają tak ważnego znaczenia teorji mitów, jak Sorel i jego zwolennicy, stanowi ona jednak naturalny wynik rewizji „z lewa“.

Nie godząc się z wynikami dokonanej przez Marksa analizy rozwoju kapitalistycznego, solidaryzując się w tym z Bernsteinem, „druzgocząc“, jak sądzą, naukowe podstawy przeświadczenia o konieczności przewrotu społecznego, a je-

dnocześnie uznając ów przewrót za niezbędny, ci rewizjoniści z Sorelem na czele, z konieczności muszą dojść do wniosku o potrzebie sztucznego wytwarzania jego pierwiastków, i nie posiadają innego wyjścia, jak zwrot od nauki ku wierze.

Dowodzi to niezbicie, że marksizm ortodoksyjny wyjdzie tak samo zwycięsko z walki z rewizjonizmem „z lewa“, jak wyszedł ongi z walki z rewizjonizmem „z prawa“.

K. Z—wski.

Straty strajkowe przemysłu i robotników.

Strajk w państwie rosyjskim ma charakter nieorganizacyjny i żywiołowy, i przeważnie trwa bardzo krótko. W okresie 1895 — 1908 więcej niż w połowie (54,7%) wypadków strajkowych trwał każdy strajk przeciętnie nie dłużej od trzech dni. Rok 1905 był rokiem wyjątkowo długich dla państwa rosyjskiego strajków: trwających do 3 dni strajków było tylko 40,6%. W 1906 — 1908 krótkotrwałych strajków było znacznie więcej.

Jeśli strajki trwające do 10 dni, uznać za krótkotrwałe, wyżej zaś 10 dni za długotrwałe, to się okaże, iż w 1895 — 1908 latach krótkotrwałych strajków było 6 razy więcej, niż długotrwałych (strajków pierwszego rodzaju — 21,544, drugiego — 3,873).

W strajkach długotrwałych traci się czasu roboczego, rzecz prosta, znacznie więcej. To też, na 3,873 strajki, trwające ponad 10 dni, przypada 21,143,363 straconych dni roboczych, co wynosi dwa razy więcej od ilości dni straconych w strajkach krótkotrwałych (13,355,970).

Upór strajkowy robotników najlepiej określa się ilością straconych dni roboczych, przypadających na jednego strajkującego. Jak się wahał ten upór, widzimy z następującej tabelki:

1895 . .	5,0	1902 . .	3,5
1896 . .	6,4	1903 . .	5,1
1897 . .	5,3	1904 . .	7,4
1898 . .	3,7	1905 . .	8,7
1899 . .	4,6	1906 . .	4,9
1900 . .	4,0	1907 . .	3,2
1901 . .	3,4	1908 . .	4,9

W latach 1906 — 1908 odbyło się bardzo dużo krótkotrwałych demonstracyjno-politycznych strajków. Jeśli wyłączyć te ostatnie, to liczby określające upór robotników będą znacznie wyższe, mianowicie: w 1906 roku 8,9, 1907 — 7,6, 1908 — 9,1. Widzimy więc, że upór strajkowy robotników państwa rosyjskiego w ostatnich latach jest większy, niż w okresie przedrewolucyjnym.

Upór strajkowy robotników zagranicznych określa się dla okresu 1895 — 1904, jak następuje: dla Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej 25,4 dniami straconemi na jednego strajkującego, dla Anglji — 34,2 dniami. Francji — 14,3, Austrji — 12.1, Włoch — 10,3. Z powyższego zestawienia wypływa, że im bardziej rozwinięty przemysłowo jest kraj, im silniejsze tam są organizacje robotnicze, tym większy jest upór strajkowy. Państwo rosyjskie zajmuje ostatnie miejsce w tym szeregu, ustępując nawet Włochom.

Zdawaćby się mogło, iż wygodniejsze są dla przemysłowców strajki krótkotrwałe typu rosyjskiego, iż tego rodzaju strajki wyrządzają im mniejsze szkody. Tak, jednak, nie jest w rzeczywistości. Strajki typu rosyjskiego są z konieczności żywiołowe, przewidzieć ich niepodobna — takie też wystąpienia są najbardziej szkodliwe nietylko dla robotników i przemysłu, ale i dla samych przemysłowców.

Straty przemysłu można określić według ilości straconych dni roboczych, wychodząc z wartości całorocznej produkcji. Straty robotnika też można określić w podobny sposób, jeśli przyjąć pod uwagę przeciętną płacę roboczą w danej gałęzi przemysłu. Ułożona w myśl powyższej metody niżej umieszczona tabelka daje nam obraz strat przemysłu i robotników podług oddzielnych gałęzi przemysłu w tys. ru-

bli (pierwszy wiersz—straty przemysłu, drugi wiersz—straty robotników):

GAŁĘZIE PRZEMYSŁU:	1895— —1904	1905	1906	1907	1908	1895— —1908
PRZEMYSŁ WŁÓKNISTY:						
Przeróbka bawełny . . .	4444	38990	8422	3298	1386	56540
	549	4115	1039	399	171	6273
Przeróbka wełny	733	12507	4157	930	287	18614
	94	1534	512	114	35	2298
Przeróbka jedwabiu . . .	24	453	748	85	69	1380
	4	73	12	14	11	114
Przeróbka lnu, konopi i juty	187	4171	1740	644	46	6788
	29	654	272	101	7	1063
Przemysł metalowy . . .	2980	35080	4089	2062	605	44816
	650	7654	891	450	132	9777
Przeróbka prod. spożywcz.	730	14975	5081	1869	222	23596
	51	699	274	87	11	1122
Przetwory chemiczne. . .	471	7045	1598	4470	243	13827
	41	508	131	367	21	1140
Przemysł drzewny	116	2976	1354	446	75	4967
	18	462	210	69	12	771
Przem. papier. i graficzny .	132	2948	738	589	82	4485
	24	544	137	108	15	828
Przeróbka prod. mineraln. .	130	1122	238	132	33	1655
	44	397	77	43	11	572
Przeróbka prod. zwierzęc. .	653	4714	1521	374	241	7503
	54	411	132	32	21	650
Zakłady naftowe w Baku .	—	—	—	—	2257	2527
					208	208
Inne gałęzie	222	2314	756	176	21	3489
	99	409	133	31	4	616
Razem . . .	10427	127295	31161	15072	5837	190187
	1597	17541	3820	1815	659	25416

Najwięcej ucierpiał przemysł metalowy, gdzie za cały okres 1895—1908 straty strajkowe wyniosły 12% rocznej produkcji (dla obliczenia wzięto wartość produkcji 1900 r.); straty przemysłu włóknistego stanowią około 10%. W innych gałęziach przemysłu straty są znacznie mniejsze.

Straty robotników stanowią w 1895 — 1904 około 1 rb. na robotnika rocznie, w 1905 r. około 10 rb., w 1906 około 2 rub., w 1907 — około 1 rub. i w 1908 — około 40 kop.

Straty robotników pozornie nie są duże, lecz tylko po-

zornie. — Czyż można obliczyć te straty, które ponosi na zdrowiu robotnik i jego rodzina? Przecież każdy strajk niesie ze sobą i głód i chłód.

Co do przemysłu, to największą szkodą dla niego jest ta dezorganizacja, którą strajk nań wprowadza. Niestety, nie jest w mocy robotnika, nie strajkując i nie czyniąc strat przemysłowi, polepszyć warunki swego bytu i pracy.

K. K.

Radykali u rządu.

(List z Francji).

Jeśli stanowisko radykałów podczas ostatnich wyborów mogło jeszcze pozostawić pewne wątpliwości u upartych idealistów, biorących zbyt dosłownie ich pięknie brzmiące hasła demokracji, wolności, postępu, — to chyba wszystko to, co nastąpiło potym, co było mówione i pisane podczas krótkiej sesji przedwakacyjnej Izby, powinno było doszczętnie te złudzenia rozwiać. W miarę tego jak radykali stają się coraz pewniejsi swych rządów, w miarę tego jak mara powrotnej fali nacjonalistycznej reakcji blednie i staje się tylko straszakiem, którym się potrząsa przed nosem opornych lub niezdecydowanych sprzymierzeńców, polityka radykałów staje się coraz logiczniejszą, bardziej stanowczą i mniej ustępliwą. Z coraz większą swobodą i szczerością wyzbywają się radykali resztek swej pseudo-socjalistycznej ideologji, z westchnieniem ulgi zrzucają z siebie krępujące ich już teraz i do niczego nie przydatne więzy, które za czasów „bloku“ łączyły ich z socjalistami.

Stronnictwo wolnościowe, walczące z wszelkim uciskiem i wszelką reakcją, broniące mglistych haseł wolności, demokracji i postępu, przeistacza się w partję-przedstawicielkę pewnej określonej klasy, która dla swego rozwoju potrzebuje wolności, ale nie wogóle wolności, a tylko pewnej, określonej wolności, potrzebuje demokracji, ale niezbyt daleko posuniętej, jest sama wyrazem postępu, ale idącego w określonym kierunku i służącego określonym interesom. Wszystko to, co nie służy reprezentowanej przez nich klasie wielkiej i śred-

niej burżuazji jest przeciwne wolności demokracji i postępowi. Z tym należy walczyć, na rzecz tego nie należy robić ustępstw. Stąd coraz bardziej wrogie stanowisko radykałów wobec socjalistów, stąd osłabienie ich bojowej postawy wobec wszelkiego rodzaju progresistów, republikanów i t. d.

Gdy w nowo wybranej Izbie radykali policzyli się, to bardzo szybko się spostrzegli, że jeśli ich lewe skrzydło— „radykali-socjaliści“ i „socjaliści niezależni“ — stopniało, to natomiast wzmocnili się ich najbliżsi na prawo sąsiedzi—progresiści i republikanie. Ażeby nadal pozostać potężną partją rządową, trzeba tak szeroko rozłożyć skrzydła, by w ich cieniu mógł się pomieścić i ów prawy sąsiad. A wzrost delegacji socjalistycznej (z 53-ech do 75-iu) czynił tę potrzebę bardzo naglącą. Deklaracja Brianda, prezesa ministrów, wypowiedziana zaraz po otworzeniu Izby i uzupełniona w odpowiedzi na interpelacje socjalistów i radykałów, była właśnie takim szerokim rozłożeniem skrzydeł. Ta szerokość była z konieczności i świadomie okupiona brakiem jasności. Nie mówi się wyraźnie i dobitnie, tak przykrych dla wrażliwego ucha, choć milcząco uznanych za potrzebne rzeczy, jak porzucenie dotychczasowych haseł, odłożenie zachwalanych reform, pojednanie się z dotychczasowym wrogiem. Briand, którego cała karjera polega na zdradzaniu dawnych ideałów, świetnie wywiązał się ze swego zadania. Nie wzbudził wprawdzie w nikim zapalu; słuchano go w milczeniu i jakby skrępowaniu, ale to już wina nie jego a nowej sytuacji, z którą narazie trudno się oswoić. Natomiast dokonał on prawie niemożliwego: zdradził dotychczasowy program radykałów z taką zręcznością, że czytając jego deklarację należy tej zdrady szukać między wierszami. Nie zapomniał o żadnej z reform, które stanowiły dotąd bojowy rynsztunek partji radykałów, ale mówił o nich w formie tak nieokreślonej, obstawiał je tyloma zastrzeżeniami, że te reformy wydają się pustemi dźwiękami. Reforma wyborcza (wprowadzenie przedstawicielstwa proporcjonalnego), której Francja domaga się coraz natarczywiej, stała się w jego interpretacji jakąś nędzną parodją. Przegląda przez nią strach, żeby te mniejszości, które się domagają przedstawicielstwa, nie zalały dotychczasowej radykalnej większości. Projekt podatku postępowego od dochodu obstawiony jest tyloma zastrzeżeniami. przewidziane są takie trudności, że dla najmniej doświadczonych staje się jasnym, że nie potrafi on tych trudności pokonać i nie wejrzy na światło dzienne. — Zapewnieniu o energicz-

nym zakładaniu szkół świeckich towarzyszy tyle frazesów o poszanowaniu wolności, że prawica bez wielkiego trudu zrozumiała, że z tej wolności skorzystać będą mogły szkoły „wolne“ czyli przez kler prowadzone, z któremi Francja już od tak dawna i bezskutecznie walczy. Ale prawdziwemi arcydziełami obłudy są te ustępy deklaracji, w których mowa jest o reformach społecznych i o prawach, tyczących się niższych urzędników państwowych (kolejarze, urzędnicy pocztowi, nauczyciele ludowi). Tutaj były socjalista i wielki propagator strajku powszechnego wykazał całą swą czelność. W pięknie ułożonych zdaniach o dążeniu do jak najszerszej swobody jest cały szereg pogróżek, mówiących jasno o tym, że silny rząd—a Francji takiego potrzeba —nie może znieść manifestacji robotniczych, nie może znieść strajków, nie dopuści do związków zawodowych wśród urzędników państwowych i t. d. i t. d. Nieograniczona swoboda dla tych, którzy uczciwie pracują, spełniają swe obowiązki obywatelskie, godzą się z obecnym stanem rzeczy,—represje względem tych, którzy buntują się, zakłócają porządek, zagrażają „dobru publicznemu“.

Zakończenie deklaracji jest czymś w rodzaju pokornej prośby o przebaczenie, że jej autor (Briand) jest byłym socjalistą, że nie jest kością z kości radykałów, że może wobec tego nie zasługuje na zupełne zaufanie. Zaufanie to jednak uzyskał; nie odrazu wprawdzie. Znaleźli się wśród radykałów-socjalistów tacy, którym ta deklaracja wydała się odstępstwem od ich dotychczasowych ideałów. Ten zwrot na prawo wydał im się zbyt nagłym, a może zbyt szczerym. Zapragnęli zamanifestować swą lojalność dla sztandaru. Ale i skończyło się na manifestacji. Berteaux, który w ich imieniu przemawiał i interpelował Brianda, zadowolnił się zdawkowym jego zapewnieniem, że wszystkie ideały radykałów będą uszanowane. Natomiast zupełnie w tonie deklaracji, tylko może bardziej szczere, było wystąpienie radykała Ajam'a. Podkreślił on dwulicowość tych radykałów, którzy jakby wstydząc się swych zdrowych i słusznych zasad, uważają się za przyjaciół socjalistów, podszywają się pod ich nazwę (radykali-socjaliści), nie smią otwarcie przeciw nim występować. Czas już, by to nieporozumienie się skończyło, radykali powinni zrozumieć, że socjalistów należy zwalczać i tylko zwalczać.

Głosowanie nad deklaracją jest może najlepszą miarą jej wartości. Uzyskała ona votum zaufania 403-ma głosami

przeciw 110-ciu. Wobec tego, że socjalistów w Izbie jest 75-ciu, wynika stąd, że oprócz nich głosowało przeciw deklaracji zaledwie 35-ciu, czyli że całe centrum i prawie cała prawica podpisały się pod polityką Brianda, znalazłszy widać w jego deklaracji dostateczną rękojmię, że ich interesy będą uszanowane.

Partja radykałów zaufała Briandowi, złożyła w jego ręce władzę z tą słodką pewnością, że potrafi on, jak mówi rosyjskie przysłowie, i „honor zachować i kapitał zdobyć". I nie zachwiały jej wiary nawet tak groźne oznaki rozkładu, jak słynna sprawa Liabeufa i skandal Rochette'a. Sprawa Liabeufa nie dla tego jest dla nas znamienna, że skazano niewinnie za sutenerstwo robotnika, który potym, mszcząc się, zabił policjanta, biorąc go przez omyłkę za tego, który na niego doniósł. Takie sprawy zdarzają się wciąż i wszędzie i niestety zbyt są powszednie, by mogły być znamienne. Ale charakterystycznym jest to, że gdy Liabeufa sąd skazał za zabójstwo policjanta na śmierć, opinja publiczna obruszyła się i zaprotestowała przeciwko tej niesprawiedliwości. Wszystko co we Francji jest prawego i szlachetnego krzyknęło wielkim głosem: „łaski dla Liabeufa!". Łaski dla człowieka, który walczył w obronie swej sponiewieranej godności, łaski dla człowieka, który w tej epoce zgnilizny i znieprawienia nie zniósł, by niesłusznie ciążyło na nim to straszne piętno sutenerstwa. Petycję, jaką posłano do prezydenta Republiki Fallieres'a, podpisali najznakomitsi ludzie Francji. Hervé, odsiadujący 4 lata więzienia za artykuł, w którym pochwalał czyn Liabeufa, napisał do Fallières'a list otwarty, żądający łaski. Dla wszystkich było jasnym, że Fallières wie co myśleć o tej sprawie, że jeśli zechce być wyrazicielem opinji publicznej, to Liabeufa ułaskawi. Ale Fallieres nietylko z opinją publiczną się liczył. Myślicielom, profesorom i publicystom, żądającym łaski, przeciwstawił się Lepine, prefekt policji, żądający głowy Liabeufa. I przeważył — wyrok wykonano. Rząd do konsekwentnego przeprowadzania polityki, do której się zobowiązał w swej deklaracji, potrzebuje przedewszystkim pomocy administracji, policji. A darmo nic niema. Lepine, który zasłynął ze swej umiejętności „urządzania" manifestacji, „łagodzenia" strajków i t. d., postawił jakoby egzekucję Liabeufa za warunek dalszej swej służby. I trzeba było ustąpić. Radykali pogodzili się z tą koniecznością i ledwie w niektórych swych pismach wyrazili swe niezadowolenie z nielitościwości zwykle tak łaskawego Fallières'a.

Zresztą w obecnej chwili czują oni zbyt wyraźnie potrzebę silnego i jak najmniej do ustępstw skłonnego rządu. Trzeba zabezpieczyć kraj przed grożącym mu niebezpieczeństwem, trzeba ustrzec przed katastrofą,—trzeba jednym słowem szykować się do zapowiedzianego powszechnego strajku kolejowego. Alarm, jaki wokoło tej sprawy podnoszą pewne pisma, jest przygotowywaniem opinji publicznej przeciw kolejarzom, domagającym się zaspokojenia ich słusznych — przez wszystkich, nawet najmniej z ruchem robotniczym sympatyzujących, za słuszne uznanych—żądań. Trudność polega na tym, by — uznawszy żądania za słuszne — wykazać, że strajk jest przestępstwem. Wiadomo jest wprawdzie powszechnie, że towarzystwa kolejowe odmówiły zaspokojenia tych żądań, że co gorsza odmówiły traktowania z sekretarzami syndykatów kolejowych, że od dziesiątek lat zwodzą kolejarzy złudnemi obietnicami. Wiadomo jest także, że syndykat pracowników kolejowych należy do najmniej rewolucyjnych i że jeżeli zdecydował w zasadzie strajk, to tylko dla tego, że innego wyjścia niema, że wszystkie bardziej pokojowe środki zawiodly. A jednak Briand zamiast użyć całego wpływu rządu na towarzystwa kolejowe i zmusić je do ustępstw, — a taką według programu radykałów winna być postawa rządu wobec zatargów społecznych, — oznajmia, że strajk kolejowy jest zamachem na dobro publiczne, jest zakłóceniem normalnego biegu życia, jest ruiną dla handlu i przemysłu: jest katastrofą społeczną. I jak w czasie wielkich katastrof zapowiada użycie nadzwyczajnego środka: mobilizacji. Nie zdradzi jawnie haseł wolnościowych, nie ogłosi, że strajk jest karany więzieniem, ale kolejarze, którzy dziś jako wolni obywatele zastrajkują, jutro, jako powołani przez mobilizację żołnierze zagrożonej ojczyzny, zmuszeni będą stawić się na rozkaz. I niech dalej jako wolni obywatele walczą z towarzystwami, nikt im w wolnej Francji tego nie zabroni Tak broni Briand interesów państwa, społeczeństwa i wolności. I pewny jest, że zawsze znajdzie uznanie i poparcie wśród zdemoralizowanej, zajętej wyłącznie wszelkiego rodzaju spekulacjami partji radykalnej. Skandale, które co chwila wybuchają i które obryzgują błotem to sfery rządowo-policyjne, to pewne koła radykałów, zdają się beznadziejnie przypieczętowywać ten sojusz, którego hasłem jest: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Wyszła z okresu walk ideowych z reakcją, która przeszkadzała jej rozwojowi, uwolniona od zbytecznego już i cią-

żącego bagażu haseł szczerze postępowych—partja radykalna przeszła do okresu używania spokoju. Obecna jej polityka jest konsekwentnym zajęciem określonego stanowiska: stanowiska partji rządzącej. Troska o dalszą walkę ideową, o przestrzeganie haseł wolności i demokracji spadła na doniedawna jej sprzymierzoną, obecnie jej zdecydowaną, przeciwniczkę: partję socjalistyczną. Socjaliści zrozumieli swe zadanie i w deklaracji swej, którą wygłosili z trybuny Izby, a która jest podanym w skróceniu programem socjalistycznym, zapowiadają, że walczyć będą w obronie nietylko czysto socjalistycznych postulatów, ale i ogólno-ludzkich haseł.

Casimir.

Paryż 20 sierpnia 1910.

ZDALEKA i ZBLIZKA.

Z prasy litewskiej. Wobec rocznicy grunwaldzkiej i obchodu krakowskiego społeczeństwo litewskie, właściwie zaś rej w nim wodzące obecnie grupy, napozór zajęły dość wyraźne stanowisko, które się ujawniło w uchyleniu się od wzięcia udziału w uroczystościach jubileuszowych. Odmowna odpowiedź na zaproszenie komitetu krakowskiego nie była jednak w gruncie rzeczy zupełnie szczerą i stanowczą, jakby tego można się było spodziewać, sądząc z redakcji jej, brzmiącej jednakowo zarówno w ustach wstecznika-klerykała, jak i „postępowego“ demokraty litewskiego, a umotywowanej „smutnemi stosunkami pomiędzy Litwinami a Polakami“. Grupy miarodajne „opinji litewskiej“ posłały nawet do Krakowa wiceredaktora pisma „Viltis“ księdza Tumasa, oficjalnie w charakterze korespondenta pism litewskich, a właściwie przeznaczonego do „przyjaznego“ poinformowania polskich działaczy społecznych o stosunkach polsko-litewskich.

Oceniając misję ks. Tumasa, litewskie pismo społeczno-demokratyczne „Visuomene“ (№ 6) podkreśla dwoistość i nieszczerość postępowania „ojców narodu litewskiego“, którzy się odmówili od publicznego udziału w uroczystościach, a je-

dnocześnie próbowali przeprowadzić jakieś ukryte przed ogółem kombinacje dyplomatyczne.

Ks. Tumas—pisze wspomniane pismo—w szeregu artykułów opisując w „Viltis“ swe wrażenia z obchodu, był zmuszony przyznać, że misja jego względem Polaków najzupełniej chybiła. Poprostu nie interesowano się ani sprawami litewskiemi, ani osobą księdza-korespondenta, pomimo że ten starał się nawet siadać na widocznych miejscach. Musiał poprzestać na poufnych pogawędkach, o których wspomina półgębkiem. Charakteryzuje przytym rozmaite grupy działaczy polskich pod względem ich stosunku do Litwinów i dochodzi do wielce znamiennych wyników. Ludzie pracy poważnej, pozytywnej, zyskują odeń pochwałę, lecz, powiada, „o szerszej polityce niema czego z niemi pertraktować, gdyż oni nie wychodzą poza obręb swej pracy, a zresztą nie narzucając się innym, nie mają wpływu na szerszy ogół, społeczeństwo ich nie słucha“. Co innego demokraci narodowi („endecy“): są to „na Litwie niecierpiani, gdzieindziej... bodaj najsympatyczniejsi dzięki swej miłej nam lub niemiłej otwartości“. „Endek Litwin zawsze się porozumie z endekiem polskim, lecz strzeżcie się tych, którzy dzisiaj są wasi, a jutro nasi lub odwrotnie“, słusznie bodaj powiedział pewien wpływowy endek (polski?)“ i t. d.

Słuszny stąd wyciąga wniosek „Visuomene“, że endecji litewskiej bynajmniej nie chodzi o pozytywną pracę kulturalną, którą ciągle ma na ustach, lecz o „szerszą politykę“, o walkę nacjonalistyczną, wobec czego istnienie endecji polskiej jest dla niej *conditio sine qua non* wpływów na szersze warstwy własnego społeczeństwa. „Gdyby endecy polscy nie istnieli—powiada „V.“—i nasi endecy byliby zmuszeni mieć do czynienia tylko z Polakami o pracy pozytywnej, kusoby im było, gdyż trudno byłoby o dostateczną ilość odurzająco-„patrjotycznych“ trunków dla pociągnięcia ogółu ku sobie, daleko trudniej byłoby ukryć swą kramarsko-księdzowską twarz“. A więc niech żyją w jak najdłuższe lata endecy polscy!

Związki i stowarzyszenia robotnicze w Częstochowie. Robotnicy Częstochowy znajdują się pod bardzo silnemi wpływami kleru. Nawet narodowa demokracja słabe ma tu znaczenie. „Polski“ związek żelazny słabo wegietuje na Ra-

kowie; nadto jest tam słaby oddział polskiego związku cieśli, stolarzy i pokrewnych zawodów.

Ze związków bezpartyjnych istnieje i dobrze się rozwija w Kłobucku pod Częstochową oddział „Łączności“ mularskiej. Takiż oddział w Częstochowie funkcjonować przestał. Nie daje również znaku życia oddział bezpartyjnego związku drzewnego. Oddział taki jest, choć rozwija się słabo, w poblizkim Nowo-Radomsku, gdzie po spaleniu się fabryki Cohna pozostała fabryka drzewna Thonet'ów.

Stowaraysześń spożywczych w Częstochowie jest 3; wszystkie znajdują się pod wpływami kleru i idą źle. Postępowa kooperatywa na Rakowie kiedyś istniała; na skutek jednak represji policyjnych, stosowanych względem jej członków, została zwinięta.

Sympatycznie się rozwija i duży pożytek przynosi w Częstochowie oświatowe „Towarzystwo szerzenia wiedzy“. Należy do tego towarzystwa bardzo dużo robotników.

E. M.

Ze związku zaw. rob. przem. drzewnego.

Kto uważniej badał działalność praktyczną klasowych związków zawodowych u nas i za granicą; kto zastanawiał się nad istotą walki klasowej, ten dokładnie musi sobie zdawać sprawę z doniosłości i konieczności objęcia przez każdy związek jak największej ilości zatrudnionych w tej gałęzi robotników. Tylko organizacja, opierająca się na szerokiej masie pracowników danego fachu, tylko silne stowarzyszenie robotnicze może skutecznie prowadzić ich do boju za poprawę warunków pracy, podporządkowując oczywiście walkę tę perspektywom dalszym ruchu robotniczego.

Słabe związki, nie posiadające wskutek tego w swych kasach dużych funduszów materjalnych, skazane są na wegietację, nie będąc w stanie przeprowadzić samodzielnej akcji obronnej, jak i zaczepnej. Zdawaćby się mogło, że pogląd ten już dawno powinien był się przedostać do mózgów ludzi, zajmujących się pracą związkową. Niestety, tak jeszcze nie jest, a przykładem czego jest związek zawodowy rob. przemysłu drzewnego Król. Polskiego. Związek nasz, choć, jak sama nazwa wskazuje, ma być stowarzyszeniem ogółu robotników, pracujących w drzewie, jednak w rzeczywistości jest tylko związkiem zawodowym stolarzy. Inne bowiem ga-

łęzie przemysłu drzewnego trzymają się zdala od naszej instytucji głównie dzięki swemu nieuświadomieniu klasowemu. W rezultacie liczni pracownicy drzewni różnych fachów są zupełnie niezorganizowani, albo należą do reakcyjnych związków burżuazyjnych lub klerykalnych. na czym sprawa nasza tylko cierpi. Z członków czynnych Związku wielu posiada wpływ i stosunki wśród tych fachów, zarząd zaś przy chęci z jego strony mógłby stosunki te wykorzystać. Należy tylko do roboty energicznie się zabrać, odwoławszy się do członków Związku o pomoc. Mamy nadzieję, że wtedy rozszerzenie i pogłębienie wpływów Związku naszego nie każe na siebie długo czekać.

Or . . . d.

O położeniu pracowników i pracownic igły.

Praca igłą napozór lekka jest, jednakże nadzwyczaj nużąca i mozolna, zwłaszcza jeżeli trwa długo bez przerwy w lokalu ciemnym i brudnym, staje się nieznośną i podkopującą zdrowie pracowników.

Praca szycia, jak wiadomo, odbywa się w pozycji siedząco-pochyłej i połączona jest ze stałym natężeniem wzroku. Pozycja sama przez się niewygodna wywiera ciśnienie na klatkę piersiową i tamuje swobodny ruch płuc. Spowodowane tym sposobem połowiczne oddychanie osłabia płuca i wycieńcza cały organizm. Praca w tak niekorzystnych dla zdrowia warunkach trwa u mniejszości robotników od 10 do 13 godz. dziennie, u większości 16—18, a w sezonie nieraz całe noce i w to w lokalach całkiem nieodpowiednich.

To też olbrzymia większość pracowników, a zwłaszcza pracownic igły, wygląda mizernie a zapadłe piersi i podkrążone oczy świadczą, że życie tej całej rzeszy pracującej jest smutne i niepociągające. Choroby płuc, gruźlica wśród pracujących igłą zbierają obfite żniwo. Patrząc na tę całą rzeszę pracujących, ma się wrażenie, że ci ludzie steroryzowani podłemi warunkami pracy zobojętnieli na grożące ich zdrowiu niebezpieczeństwo. Rozmieszczeni po różnych ciasnych i brudnych, a prawie zawsze skrytych dla oka publicznego kątach, przyzwyczajają się do nieludzkich form bytowaniu, zrastają się poprostu z brudem i nieporządkiem. A że światło wiedzy z trudnością przedziera się do tych dusznych kątów. zwanych pracowniami, przeto wśród tych wiecznie pędzonych

troską za marnym kawałkiem chleba rodzi się mimowolne przedświadczenie, że tak jest dobrze, tak być musi.

Co prawda lata ubiegłe, lata ogólnego ruchu robotniczego były jakby przebudzeniem się robotników nawet w najzacofańszych zawodach. Widzieliśmy więc zarówno w Warszawie, w Łodzi jak i innych miastach wielkie strajki modniarek, szwaczek i krawców. Możnaby jednak twierdzić, że ruch ten nie był całkiem świadomy, ani ściśle zorganizowany. Był to poprostu ruch żywiołowy, a raczej może odruch półświadomy. Bo gdy tylko pierwszy zapał minął, robotnicy pod naciskiem reakcji poczęli szybko tracić uzyskane w strajkach zdobycze na rzecz przedsiębiorców. Co gorsza, zmordowani walką, zniechęceni niepowodzeniami zaczęli po dawnemu apatycznie oceniać swoje położenie.

W żądaniach. wystawianych przedsiębiorcom krawieckim podczas strajków, figurowały żądania obszernych i czystych pracowni. Żądano, ażeby z istniejących już pousuwać kuchnie i tym sposobem stworzyć względnie higjeniczne warunki pracy. Żądania te uwieńczone zostały, mniej lub więcej, pomyślnemi skutkami, które jednak nie przez wszystkich robotników zostały należycie ocenione. Bo oto. gdy nastały dla robotników czasy mniej pomyślne a przedsiębiorcy krawieccy poczęli zwijać urządzone już jako tako pracownie (w Łodzi rok 1908), robotnicy nie okazali najmniejszej chęci oporu, nie słychać było słowa protestu. Robotnicy, którzy przedtym domagali się higjenicznych pracowni, teraz bez szemrania szli pracować do swych mieszkań, w których mieszczą się nietylko kuchnie, ale pralnie i sypialnie razem dla całych rodzin.

W Warszawie, naprz., od czasu ustania gwałtownych scen, rozgrywających się na tle walki z chałupnictwem, cała rzesza pracowników krawieckich nie daje o sobie znaku życia. A szkoda— bo gdyby pracownicy igły w Warszawie zechcieli ujawnić niehigjeniczne warunki, w jakich pracują, przyczyniliby się do wyświetlenia swego ciężkiego położenia, a ludzie dobrej woli, którzy organizują wystawy higjeniczne w celu wykazania, że czystość to zdrowie, podnieśliby napewno wielki krzyk, nietylko w imię zasad humanitarnych, lecz i w imię bezpieczeństwa osobistego, gdyż przekonaliby się, że odzież, którą noszą, wykonywana jest w miejscach brudnych, rojących się nieraz od zarazków gruźlicznych i innych!

Pomijam narazie warunki pracy chałupników, o których już dużo pisano i mówiono, a które nie odpowiadają nawet

najskromniejszym wymaganiom higjeny, a chciałbym tu zwrócią uwagę na pracownie przy wielkich, elegancko urządzonych magazynach odzieżowych.

W Łodzi egzystuje kilkanaście wielkich magazynów krawieckich (jeszcze więcej napewno w Warszawie), które, pomimo że wydają robotę chałupnikom, jednakowoż znaczną jej część wykonywują na miejscu. Zdawaćby się mogło, że jeżeli z frontu magazyn o wielkich szybach wystawowych bije w oczy wytwornością i elegancją, to tam przecież gdzieś z tyłu znajdzie się jakiś schludny kątek do pracy dla robotników. Omyliłby się bardzo ktoby tak sądził. Na dowód przytoczę trochę szczegółów. Pracownia firmy G., w której pracuje 20 kilka rob. mężczyzn i kobiet, mieści się na poddaszu. W lecie panuje tam tak straszny zaduch i gorąco, że zdarzają się omdlenia robotników. Zaduch i gorąco potęguje się jeszcze przez grzanie żelazek do prasowania na maszynkach gazowych, od których spalenizna rozchodzi się po pracowni. Zimą podczas mrozów bywa tak zimno że ręce kostnieją. Małe okienka w dachu wprowadzają tak mało światła, że tylko po środku poddasza jest widno, po bokach panuje cień. Właściciele zakładu nie troszczą się wcale o porządek, to też od kurzu i brudu wszystko się lepi. Zdaje się jednak, że nawet przy dobrych chęciach trudno byłoby utrzymać porządek, ponieważ kurz gromadzi się pomiędzy belkami i różnemi wiązaniami, podtrzymującemi dach, a przy najmniejszym poruszeniu unosi się w powietrzu i zanieczyszcza organy oddechowe robotników. Jednym słowem, jest to miejsce nieodpowiednie nawet dla zwierząt, gdyż w lecie groziłoby im uduszenie a zimą zmarznięcie. Nic więc dziwnego, że pracowników tak kobiety, jak i mężczyzn trapą często różne choroby, jak zanieczyszczenie organów oddechowych, osłabienie płuc, suchoty i inne.

Pracownie firm P. i W. mieszczą się w suterynach, okna znajdują się całkiem w zagłębieniu, nie wystają nic ponad chodnik. W takich to norach odbywa się praca szycia.

I tak dalej, możnaby bez końca przytaczać podobne fakty, gdyż wszędzie to samo się dzieje. Przedsiębiorcy nie troszczą się o pracownie, bo to kosztuje drożej, robią oszczędności kosztem zdrowia robotników. Robotnicy nieuświadomieni znoszą cierpliwie krzyczące nieporządki, a wymagania ich stają się coraz skromniejsze. Smutek ogarnia, gdy widzi się jak ludzie, posiadający możność myślenia stają się bezmyślnemi maszynami roboczemi.

Z goryczą trzeba stwierdzić, iż powyższe objawy wśród robotników są wielce niepożądane i szkodliwe. Bo gdy na Zachodzie robotnicy w celu zaspokojenia po ludzku swych potrzeb życiowych, świadomie i stale dążą do uzdrowotnienia warunków pracy, do zdobycia odpowiednich zarobków, my przystosowujemy się do najgorszych warunków, zwężając nasze wymagania życiowe do minimum.

Organizacje robotnicze, a zwłaszcza związki zawodowe będą musiały podjąć energiczną walkę z dotychczasowym złem. A że zło jest wielkie, stwierdza chociażby fakt, że w Łodzi w ostatnich kilkunastu latach zmarli pracownicy krawieccy byli to ludzie lat średnich, a nawet młodsi, a przyczyny ich śmierci były choroby płuc, jak suchoty, krwotoki i inne. Trudno jest uwierzyć, że w innych zawodach jest pod tym względem lepiej.

Związki zawodowe w Danji w r. 1909.

Ruch zawodowy w Danji rozwija się bardzo pomyślnie. Do „zcentralizowanych związków zawodowych Danji" — takie miano nosi duńska centrala zawodowa— w d. 1 stycznia r. 1910 należało 98,643 członków, wobec 96,651 w d. 1 stycznia 1909 i 90253 w d. 1 stycznia 1908. Cała ta ilość członków dzieli się pomiędzy 52 związki centralne z 1,241 grupami miejscowemi, i 9 związków lokalnych.

Przychod w r. 1909 wynosił 3,473,909 koron wobec 2,222,217 koron w roku poprzednim, rozchód—3,012,911 kor. wobec 2,124,143 kor. w r. 1908. Na strajk powszechny w Szwecji wydano 843,753 kor. Ogólny majątek związków wynosił przeszło $3^1/_2$ mil. kor.

Wobec silnej organizacji zawodowej w Danji coraz częściej się zdarza, że zatargi ekonomiczne załatwiane są bez strajków. Tak, w roku 1909 strajkowało tylko 2,600 robotników, podczas gdy zatargi, w których brało udział 28,771 członków związków zawodowych, zostały zakończone bez zawieszenia pracy. Przytym 8,200 osób otrzymało podwyżkę płacy minimalnej, 1,285—podwyżkę płacy akordowej, 897 — skrócenie czasu roboczego.

Koncentracja przemysłowa w Rosji.

Ze sprawozdań inspektorów fabrycznych z r. 1909 dowiadujemy się, że w roku 1909 inspekcji fabrycznej podlegało 14.710 zakładów przemysłowych z ogólną ilością 1.831,396 rob. W porównaniu z r. 1908 ilość zakładów zmniejszyła się o 230, ilość zaś robotników zwiększyła się o 26,614. Świadczy to niezbicie o koncentracji przedsiębiorstw przemysłowych w Rosji. Zwrócić również należy uwagę na fakt, że w r. 1909 wznowiły działalność 110 przedsiębiorstw z 7,078 osób, które były nieczynne w r. 1908. Jest to dowodem ożywienia przemysłowego. Ożywienie to jed-

nak nie było powszechnym: w okręgu moskiewskim ilość robotników zwiększyła się w r 1909 o 13,864 osób; w okręgu warszawskim—o 11,237 osób; w petersburskim—o 3,578 osób; natomiast w okręgu nadwołżańskim zmniejszyła się — o 3,447 osób; w charkowskim zmniejszyła się o 3,447 i kijowskim o 112 osób.

Związki zawodowe w Austrji w r. 1909.

Jak widać ze sprawozdania austrjackiej komisji zawodowej, r. 1909 był dla ruchu zawodowego w Austrji bardzo ciężki. Olbrzymi kryzys, który dotknął prawie wszystkie gałęzie przemysłu, zmusił wielu robotników do wyjazdu, innych pozbawił możności wpłacania składek do związków zawodowych, skutkiem czego zmniejszyły się ilość ich członków i dochody; z drugiej zaś strony wydatki na zapomogi wzrosły. Jedną z przyczyn upadku ilości członków w centralnych związkach była agitacja za tworzeniem narodowych związków, jaka rozpoczęta została przez Czechów. Związki, zorganizowane przez separatystów czeskich, posiadają około 7,000 członków, i komisja zawodowa oblicza, że związki te oderwą jeszcze do 20,000 członków czesko-słowiańskich, bez żadnej pewności jednak, że ich dla siebie pozyskają, gdyż tylko część tych związkowców, którzy od centralnych związków odpadają, wstępuje do narodowych.

W końcu r. 1909 centralne związki liczyły 415,256 członków, podczas gdy ilość tych ostatnich wynosiła w końcu roku 1908 — 447,227. Przyjmując pod uwagę 7,000 członków czeskich narodowych związków, właściwa strata członków wynosi około 25,000.

Dochody w r. 1909 wynosiły 8,491,626 koron wobec 9,329,003 kor. w r. 1908. Z wpisów wpłynęło 93,285 koron, z wkładek 7,376,216 kor., z nadzwyczajnych wkładek 1,028,123.

Wydatki w r. 1909, przy zmniejszonej ilości członków, wynosiły 8,235,068 kor. wobec 8,354,995 kor. w r. 1908. Poszczególne pozycje rozchodowe przedstawiają się jak następuje: zapomogi podróżne 209,374 kor., zapomogi dla bezrobotnych 1,505,248 kor., zapomogi dla chorych 972,074 kor., dla inwalidów 254,144 kor., nadzwyczajne zapomogi 555,396 kor., pomoc prawna 171,342 kor., pisma zawodowe i oświata 939,299 kor., agitacja 237,116 kor., administracja 792,745 kor., inne wydatki 1,545,901 kor.

Majątek związków centralnych wynosił z końcem roku 1909—9,773,911 kor., więcej niż w r. 1908 o 242,904 kor.

Na strajki wydano 2,248,000 kor., fundusz strajkowy wynosi 5.200,000 kor.

Na strajki obronne i lokauty jest osobny „fundusz solidarności“, do którego każdy członek wpłaca 5 halerzy miesięcznie. Fundusz ten wynosi 2.555,893 kor.

Wszystkie centralne związki wydają razem 104 pism zawodowych, z tego 50 w języku niemieckim, 35 czeskich, 10 polskich, 5 włoskich, 3 słowiańskie i 1 ukraińskie; 17 pism wychodzi tygodniowo, 10 dwutygodniowo, 5 trzy razy w miesiącu, 28 raz w miesiącu.

Miesięczny nakład wynosi w niemieckim języku 318,700, czeskim 118,380, polskim 21,350, włoskim 6,200, słoweńskim 3,800, ukraińskim 1,000 egz., razem w jednym miesiącu 469,430 egz.

Galicja miała w r. 1909—230 grup miejscowych; w grupach tych było 14,593 czł. mężczyzn i 907 czł. kobiet—razem 15,500 członków.

Największą ilość członków mają w Galicji następujące związki: kolejarze 4,100, metalowcy 1,441, chemiczni 1,240, murarze 1,078, drzewni 1,065, drukarze 983, tytuniowi 735, tkacze 476, krawcy 469, piekarze 447, górnicy 364, personel pomocniczy drukarzy 327 członków.

Naogół, jeżeli się uwzględni ciężkie warunki roku 1909 i ostrą walkę, wytoczoną w tym roku niektórym związkom przez przedsiębiorców, przyznać należy, że związki zawodowe w Austrji wykazały znakomitą odporność. Obecnie położenie polepszyło się i ilość członków w związkach centralnych znowu się podnosi.

Angielskie związki zawodowe w 1908 r.

W „The Board of Trade Labour Gazette“ świeżo opublikowano najnowsze dane, dotyczące organizacji zawodowej angielskich robotników.

W ostatnim 10-leciu rozwój „Trades Unions'ów“ przedstawia się jak następuje:

Lata	Ilość członków w końcu roku.	Lata	Ilość członków w końcu roku.
1899	1849999	1904	1898154
1900	1957499	1905	1923350
1901	1969119	1906	2117083
1902	1955659	1907	2411856
1903	1933615	1908	2378248

Charakterystyczny jest olbrzymi przyrost w 1907 roku (około 300 tys.). W r. 1908 widzimy zupełnie naturalną małą (około 33 tys.) falę powrotną.

Ilość robotnic-członków „Trades-Unions'ów" stanowiła w końcu 1908 r.—205,782 czyli 8,6% ogólnej ilości członków, i w porównaniu z końcem 1907 r., gdy stanowiła 202,556, znacznie wzrosła. Zorganizowane robotnice zatrudnione są przeważnie w przemyśle bawełnianym Lancashire'u.

Niżej przytaczamy ilość zorganizowanych robotników angielskich według główniejszych gałęzi przemysłu w pięcioleciu 1904—8.

PRZEMYSŁ:	1904	1905	1906	1907	1908
Budowlany	225169	205199	196512	193210	177553
Górniczy	501760	495351	581374	703355	717998
Metalowy.	334837	340289	361645	377007	365042
Włóknisty	249047	268842	305400	357201	362213
Koleje żelazne . . .	76969	82605	102085	138887	118713
Inne gałęzie. . . .	510312	529464	580067	641996	635829
Razem. . . .	1898154	1923350	2117083	2411856	2378248

Największa ilość zorganizowanych przypada na grupę górniczą, gdzie widzimy około $^1/_3$ ogólnej ilości członków „Trades-Unions'ów", dalej idą przemysł metalowy i włóknisty — w każdym z tych ostatnich mamy około $^1/_6$ ogólnej ilości zorganizowanych robotników. Charakterystycznym jest, iż przy ogólnym wzroście ilości zorganizowanych we wszystkich gałęziach przemysłu, w branży budowlanej takowa stale się zmniejsza. Zmniejszenie dało się też zauważyć i w pięcioleciu 1899—1903, a mianowicie z 250 tys. w 1899 roku do 238 tys. w 1903 r.

Na zakończenie przytaczamy dane o stanie kasowym 100 głównych związków, jednoczących około 60% ogólnej ilości zorganizowanych robotników. (Ogólna ilość związków zaw. w Anglji wynosi 1,165).

LATA.		1904	1905	1906	1907	1908
Ilość członków (w tysiącach)		1.199	1.214	1.298	1.458	1.443
Wpływy	Ogółem w tys. rb.	20.008	20.926	22.174	23.584	25.864
	na jednego członka	16.7	17.2	17.1	16.2	18.2
Wydatki	Ogółem w tys. rb.	19.431	19.535	18.532	20.341	30.281
	na jednego członka	16.2	20.8	14.3	13.3	21.1
Kapitały	Ogółem w tys. rb.	44.140	45.531	49.183	53.335	48.908
	na jednego członka	36.8	37.5	37.9	36.6	34.1

100 najbogatszych w świecie związków zawodowych robotniczych liczyły w swoich kasach w końcu 1908 roku — 48,908 tys. rb.; suma ta jest niższą od rekordowej — 53,335 tys. rb. w końcu 1907 roku. Zmniejszenie tłumaczy się dużemi wydatkami w ciągu 1908 r., związanemi z powodu kryzysu z wielką ilością pozbawionych pracy, i również z licznemi strajkami odpornemi w metalowym i włóknistym przemyśle.

Z Ameryki.

Przed klasą robotniczą w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zaczynają zarysowywać się jaśniejsze perspektywy. Już od początku bieżącego roku czuć było w powietrzu amerykańskim jakiś powiew, zapowiadający ożywienie w życiu ekonomicznym. Wszystkie pisma zamieszczały ogłoszenia dyrektorów fabryk metalurgicznych, że potrzebują: ślusarzy, kowali i innych robotników. Był to znak, że w przemyśle żelaznym 18 miesięczny kryzys ma się ku końcowi i rozpoczyna się okres wytwórczości; to samo nastąpiło i w innych gałęziach przemysłu.

Robotnicy z zadowoleniem i radością przyjęli te oznaki. Długi kryżys wyczerpał wszystkie zapasy u zamożniejszych, a robotnicy niewykwalifikowani cierpieli formalny głód przez cały czas bezrobocia. Z 29-miljonowej armji robotniczej było bez pracy: zimą 10 miljonów, a latem o parę miljonów mniej. Według statystyki amerykańskiej, nawet w normalnych czasach około 6 mil. robotników zarabia rocznie o 150 dol. mniej niż potrzeba na bardzo skromne przeżycie. To też gdy nastąpił kryzys, robotnicy ci cierpieli głód od pierwszego dnia. W jednym New-Jorku za czas bezrobocia ostatniego wyrzucono z mieszkań sześćdziesiąt cztery tysiące rodzin robotniczych! Więcej niż trzy razy tyle nieżonatych robotników pozostawało tamże bez dachu. Ci bezdomni robotnicy żyli jałmużną, miasto codziennie rozdawało (darmo!) po kawałku chleba głodnym. To samo było i w innych miastach i miasteczkach Ameryki.

Dopóki w Ameryce była praca, robotnicy pracowali i godzili się z tym porządkiem społeczno-politycznym, jaki tutaj panuje. Lecz ostatni kryzys wstrząsnął masą robotniczą, i dzisiaj już większość jej nie wierzy w trwały niezachwiany porządek w przemyśle tutejszym. Robotnicy znów oczekują, że po paru latach pracy nastąpi kryzys, a z nim razem nastąpi głód, głód daleko większy, niż podczas ostatniego kryzysu. Tu niema nadziei na czyjąbądź pomoc, każdy żyje dla siebie i wszyscy są biedni. Cały majątek Ameryki jest w ręku kilkudziesięciu kapitalistów, a miljony ludzi żyją obok siebie i wszyscy nic nie mają, to też trwoga ogarnia coraz większa biednych ludzi.

Życie w Ameryce jest tak bogate w porównaniu z Europą, że cała Ameryka przedstawia się, jakby jedne duże miasto, rozbite na większe lub mniejsze części, te części są powiązane z sobą: koleją żelazną, tramwajem elektrycznym, wodociągiem, oświetleniem, pracą, handlem i t. d. Wszędzie są składy towarów, fabryki, banki i t. d., a najwięcej rzucają się w oczy reklamy. Wszystkie domy, wozy, parkany są pooblejane reklamami, nawet drzewa, kamienie i puste kawałki ziemi służą dla reklam. Gazety wychodzą po 2, 3, 4 i więcej razy dziennie w objętości kilkunastu arkuszy druku i to wszystko za jednego centa! Ten olbrzymi, specjalnie amerykański ruch miejski wytwarza taki blask nazewnątrz i taki hałas, że Europejczyk wprost jest odurzony na czas dłuższy, a co mówić o naszych wieśniakach, którzy ani stać, ani siedzieć nie umieją. Tych rozmaici spryciarze wprost jak

baranów strzygą, oszukują i wprost rabują siłą. Każdy przybysz do Ameryki jest otoczony zawsze i wszędzie różnemi handlarzami lub ich agientami, zazwyczaj „rodakami“, udającemi wielkich patrjotów, którzy wszelkiemi sposobami oszukują swe ofiary i najwięcej tego pilnują, aby nie dostali się oni w ręce aferzystów innej narodowości. Bardzo często w Ameryce sprytniejsi robotnicy przejmują się chciwością burżuazyjną i stają się takiemi agientami, wyzyskiwającemi ciemnych przybyszów.

Pojedyńcze jednostki z pośród emigrantów zrobiły dobre interesy w Ameryce i wzbogaciły się. Zato masa emigrantów pozostała ciemna, oddana pijaństwu i niechlujna. Najniżej pod względem kultury stoją Włosi, dalej idą Słowianie, nie wyłączając i Polaków, z nich najwięcej jest skiebów (strajkbrecherów). Irlandczycy są to fachowi słudzy kapitału. Ich dzieci stają się przeważnie księżmi, adwokatami, majstrami i t. d.; z niemi najtrudniej jest naszym robotnikom. Każdy Irlandczyk poczuwa się, jakby był misjonarzem, do obowiązku propagowania katolicyzmu; ma się rozumieć są oni wrogami oświaty i starają się przeszkodzić jej rozpowszechnianiu wśród robotników i ich organizacji. Ich tu nazywają „kozakami“.

Kapitał w Ameryce jest wszechmocny i występuje przeciwko robotnikom z całą bezwzględnością, szczególnie podczas strajków. Ale o tym napiszę za innym razem.

M. Comrade.

East Pittsburg Pa.
W sierpniu 1910 r.

PRZEGLĄD KSIĄŻEK.

L. Belmont: „Socjalizm i sprawiedliwość“. (Warszawa 1909, str. 179).

Studjum „etyko-ekonomiczne“ p. Belmonta jest poświęcone: miłośnikom prawdy, szermierzom sprawiedliwości, obrońcom praw pracującego człowieka, ludziom dobrej woli, a na początku samym otrzymało wizerunek ozdobny gladjatora nowoczesnego: robotnika, stojącego na wązkim cyplu skalnym i wołającego o pomoc, — o pomoc dla siebie, dla dzieciaków swoich i żony swojej, która się tuli do niego...

Rzecz poświęcona rozbiorowi teorji wartości Karola Marxa.

Autor na inne czasy odłożył rozbiór materjalistycznego pojmowania dziejów, teorji walki klasowej i dążności rozwojowych, które żywiołowo rodzą się w ustroju obecnym i prowadzą ku innej przyszłości. Wtedy dowiemy się szczegółowiej o jego odkryciu, a mianowicie, że te idee mar-

ksizmu „już zachwiane zostały... nawet po części przez końcowe dzieła Marxa".

Tymczasowo zaś mamy inne odkrycie, a mianowicie, iż Marx własnemi rękoma załatwiał się z swoją teorją wartości.

Dowiadujemy się, iż ten badacz zajął się tylko kwestją wartości wymiennej i mógł też w rezultacie swoich rozważań otrzymać tylko to, czego szukał, t. j. wartość wymienną. Wartość zaś wymienna nie jest niczym innym, jak tylko ceną, ordynarną ceną rynkową, czymś co jest takie, jakie jest, ale nie mówi o tym, jakim być powinno.

Przez całe dwa tomy—ciągnie p. L. Belmont—piętrzy Marx gmachy misternych wywodów, aby w wartości wymiennej nie dopatrzeć się zwyczajnej ceny, aby cenę odsunąć gdzieś na plan tylny, wysunąć na plan przedni jakąś inną wartość wymienną, różną od ceny, różną zarazem od wartości normalnej, tkwiącą poza pierwszą i poza drugą... — cały swój gienjusz zużytkowuje na dowiedzenie, że tą wartością wymienną, tą podstawą ceny jest sama tylko praca, a miarą jej jest przeciętny czas produkcji, i oto po tych dwuch tomach, które rozpaliły wyobraźnię jego uczniów (dodajmy: jeszcze chyba bardziej fantazję niedokładną jego krytyków), z m u s z o n y jest napisać trzeci, który w z n a c z n e j części przekreśla wywody pierwszych dwuch tomów, bo nie daje się z niemi powiązać. W tym trzecim tomie Marx przychodzi do wniosku, że cena towarów znajduje się w najściślejszym związku z kapitałem, włożonym w przedsiębiorstwo, że składa się ona z pozytywnych kosztów produkcji, t. j. z wyłożonego kapitału i z zysku, który znajduje się w prostym stosunku do kapitału, włożonego w przedsiębiorstwo... Przeciętna norma zysku z dodatkiem kosztów produkcji stanowi o cenie.

Nie prostujemy oddania wywodów marksowskich, które aż nazbyt wiele pozostawia do życzenia, zależy nam bowiem na uwydatnieniu czegoś innego: mianowicie tego, jak swoje nierozumienie teorji tego ekonomisty, którego rysem znamiennym jest logika żelazna i nieubłagana konsekwencja, p. L. Belmont położył na karb tej okoliczności, że Marx sam sobie przeczy i sam druzgocze założenia własne. „Przyjmując teorję ceny z tomu trzeciego, zmuszeni jesteśmy odrzucić wyjaśnienia pierwszych dwuch tomów, że wartością towarów jest wartość (!!) zawartej w nich pracy". A za to, że tak zawinął się Marx gracko z własną teorją wartości, otrzymuje on komplimenty od skwapliwego krytyka: „Idee Marksa z tomu trzeciego są znacznie głębsze, są owocem dojrzalszego przemyślenia sprawy ekonomicznej, są najdalszym etapem jego myśli"... są i jeszcze są... innego rodzaju pochwały ze strony p. Belmonta.

A więc: Marx obrócił Marxa w nicość. Pozostaje jedno — oto wyłuskać powody tego rzucającego się w oczy rozdźwięku w pracy myśliciela, który, jakeśmy zaznaczyli, odznacza się własnie żelazną logiką. Ale p. Belmont umie przedostać się w krainę poety i za sobą poprowadzić czytelnika.

„To bolesne nieporozumienie—bo bolesnym jest zawsze błąd gienjuszu—jest to pomieszanie dwuch spraw: tego, co jest, z tym, co być powinno... Cała jego teorja była dedukcją, nie wynikała bynajmniej z analizy faktów. Marx c h c i a ł, aby praca była miernikiem wartości. On sądził, że tak być powinno, że to jest sprawiedliwym. Sądził tak, jako moralista (!). Pozytywnego uczonego analiza faktów doprowadziła wreszcie do uznania innego regulatora ceny—kapitału. Marx moralnie nie chciał się poddać. Uparcie utrzymywał wbrew własnemu pozytywnemu wnioskowi, że wartość pracy skrycie nie przestaje oddziaływać na cenę — to co być powinno, podawał za to, co jest.

Jesteśmy u kresu, bo c o m e d i a e f i n i t a, —komedja, w której Marx, przybrany nie w swoje szaty, płata figle Marxowi. Zamiast wmyślenia się i wczucia w wywody tego ekonomisty, zamiast podjęcia prostej tezy, że pozostaje on wciąż z sobą w zgodzie i poszukiwania istoty jego tak „sprzecznego“ wywodu, krytyk wolał udać się drogą najeżoną mniejszemi trudnościami. W gruncie rzeczy zużył czas na walkę z wiatrakami, przeplataną niekiedy reweransami ku czci autora „Kapitału“...

Na tym poprzestajemy. Ale winniśmy zrobić jedno zastrzeżenie: oto przyczynek p. L. Belmonta należy do rzędu najprzyzwoiciej pisanych z tej powodzi głosów, które ukazały się były. Za to co napisał, spotkała go już kara najcięższa: hymny ku czci jego książki ze strony p. Kurnatowskiego.

J. Czaplic.

Urywek z dramatu.

W przystępie szału suchotnik Rylski rzuca się ze sztyletem w ręce na Zofję. Zamach kończy się lekkim skaleczeniem ofiary. „Zbrodniarz“ — pod opieką władz sądowych — dogorywa w szpitalu.

Rylski—wychudzony, bardzo blady, z silnie podkrążonemi oczyma, w chałacie szpitalnym leży na łóżku, z rękami, splecionemi pod głową. Głuchy kaszel często przerywa mowę jego. Siostra miłosierdzia stoi w nogach jego łóżka, z twarzą zwróconą ku widowni.

Rylski. Ciężar mi z serca spadł, Siostro, gdym się dowiedział nareszcie, że ona żyje, że nie zrobiłem jej zbyt ciężkiej krzywdy...

Siostra. Bóg wstrzymał rękę pańską i nie dał jej dokonać złego czynu.

Rylski — (jak gdyby nie słysząc): Uwierzysz, Siostro, w te dni długie i noce straszne, kiedy, jak mówicie, byłym zupełnie nieprzytomny, dusza biła się we mnie, jak zbłąkana ćma, i wciąż z uporem wracała do tej samej myśli: zabiłeś, zabiłeś... Zniszczyć jedyny cud życia — życie samo: czyż może być męka straszniejsza...

Siostra. Męka i grzech... Bóg oszczędził panu w swej dobroci niezgłębionej, męczarni spełnionego czynu. Ale grzech pozostał: grzech woli, kierującej dłonią w zamiarach złych. Z Bogiem przeto pojednać się trzeba, panie Rylski.

Rylski. Pojednać się z Bogiem, Siostro?... Pojednać się można z wrogiem tylko. A ja Bogu nigdy wrogiem nie byłem.

Siostra. Był mu pan wrogiem, bo nie myślał pan o nim, ani o świętych przykazaniach jego.

Rylski. Och, Siostro!... A gdzież był ten Bóg, gdy na ojca mego szły zniszczenie i śmierć? gdzie był ten Bóg, gdy w mękach konała matka moja? gdzie był ten Bóg w dni smutków moich beznadziejnych i bólów najcięższych?

Siostra. Bluźni pan. Bóg w dobroci swej męki na nas złe zsyła, by przed gorszemi jeszcze uchronić. Przez ból i męki ku dobru wieczystemu nas wiedzie. Jeśli surowy jest—to surowością ojca.

Rylski—(ironicznie): Siostro, pedagogja współczesna z wychowania coraz zajadlej wykreśla system kar. Jakże złym pedagogiem jest Bóg, skoro biczem tylko dobro w nas zaszczepiać pragnie?

Siostra (surowo): Nie wolno naszych miar ludzkich do Boga przykładać... A to panu powiem, że ból jest to ów ogień najświętszy, w którym ruda wszelka i brud ziemski na złoto przetapia się najczystsze.

Rylski. O, jakże złym jest ów Bóg, który we wszechmocy swej żadnych środków na poprawę złego znaleźć nie może, prócz męki i bólu.

Siostra. Strasznie pan bluźni i błądzi, panie Rylski. Czyż można słabym rozumem ludzkim tajemnice sądów bożych przenikać?

Rylski. Nie moja to wina, że mi środków innych nie dano do przenikania tajemnic wszelkich, ponad mój słaby rozum ludzki. Zresztą, Siostro, wierzysz przecie, że bez woli bożej włos z głowy człowieczej nie spadnie? prawda?

Siostra. Prawda.

Rylski. A więc, wszystko, com w życiu spełnił — z jego woli spełniłem. Za cóż miałby mnie karać?

Siostra. Ale Bóg dał człowiekowi wolną wolę, by między złem, a dobrym wybierał.

Rylski. I cóż to za wolna wola, którą wyroki boskie pętają?

Siostra. Niepojęte są drogi, któremi Bóg do swych celów nieznanych dąży.

Rylski. Niepojęte są drogi? i cele nieznane?... Zostawmyż Boga w spokoju, Siostro, i niech od nas Bóg swój również niczego nie żąda.

Siostra. A strach przed niezłomnym wyrokiem jego?

Rylski. Gdzie wiedzy niema, tam i strachu niema, Siostro.

Siostra. A jednak lęk chwyta duszę ludzką przed śmiercią?

Rylski. Lęk chwyta, bo walczy w sercu człowieka miłość do życia, instynkt samozachowawczy, z wstrętem do nicości... Ale ja Siostro, nie boję się śmierci... Zresztą, daleko jeszcze jest śmierć ode mnie. Czuję, że żyć będę; o, długo jeszcze...

Siostra. Nikt nie wie ani dnia swego, ani godziny. I pan tego wiedzieć nie może.

Rylski. Upewnił mnie doktór wczoraj, że niebezpieczeństwo minęło, że żyć będę długo... Zresztą, sam to czuję dziś tak silnie i z taką pewnością, jakiej już dawno nie miałem.

Siostra. Cóż znaczy pewność ludzka? każdej chwili Bóg nas przed sąd swój powołać może. I każdej chwili do sądu tego gotować się trzeba.

Rylski. Nie straszne mi sądy żadne. Za błędy moje ukarało mnie życie tak ciężko, że już żadnych kar bać się nie mogę.

Siostra. A gdy przyjdzie przed Bogiem rachunki zdawać?

Rylski. Nie wierzę, Siostro, ani w twego Boga, ani w rachunki przed nim zdawane.

Siostra — (żegna się szybko): W imię Ojca, Syna, Ducha... Straszny grzesznik z pana... Straszny... Niema grzechu cięższego ponad niewiarę. Potępienie wieczyste... potępienie wieczyste...

Rylski. I piekło mi nie straszne, Siostro. Żadne piekło męk gorszych zgotować nie potrafi, niż te, które na nas zsyła życie...

Siostra. I cóż nam cierpienia ziemskie znaczą, wobec ogni piekielnych?... Panie Rylski, toż jeszcze czas duszę zbawić... Niech pan o duszy pomyśli... Przecie, gdy skrucha w obliczu śmierci przyjdzie, może już będzie zapóźno...

Rylski — (wesoło): Jeszcze mi dużo czasu do śmierci zostało, Siostro. Pytałem doktora...

Siostra — (zimno). Ponad doktorem i wiedzą ludzką jest Bóg. Nie trzeba doktorowi ufać ślepo. Pan jeszcze jest ciężko chory, panie Rylski.

Rylski (zrywając się nagle): Co siostra mówi?... Siostra coś wie... *(Kaszle gwałtownie).* Ja żyć chcę jeszcze... Jeszcze chcę wszystko złe naprawić... Żyć chcę!...

Siostra. Bóg jeden wie, co komu przeznaczone... Niech się pan z Bogiem pojedna, póki czas. Nie o życie doczesne dbać należy, lecz o zbawienie wieczyste duszy.

Rylski — (chwyta Siostrę za rękę; gorączkowo): Siostro, Siostra ukrywa coś przede mną... Prawdę czas wiedzieć... Na wszystko, co święte, na ból człowieczy Siostrę zaklinam, powiedz prawdę...

Siostra. I cóż mam panu powiedzieć?

Rylski. Czy doprawdy ze mną jest tak źle?!... Widzi Siostra, skrzywdziłem tę, którą nadewszystko kochałem... Nad życie własne, nad życie... Świętością dla mnie była... Zawiniła względem mnie ciężko... Ale jej z głębi serca odpuszczam... Jeszcze chcę naprawić wszystko... Kilka miesięcy nieziemskiego szczęścia mi dała... Za to szczęście przebaczam jej wszystko złe... Ona wróci do mnie, i znów będę szczęśliwy, Siostro, szczęśliwy jak dawniej... Siostro, mów...

Siostra. A w szczęściu znów pan o Bogu zapomni...

Rylski. Więc będę żył jeszcze; prawda, Siostro?...

Siostra. Życie i śmierć człowieka w ręku Boga...

Rylski. Siostro, czemu tak strasznie brzmią słowa twoje?... *(Nagle):* Siostro, przecie to nie suchoty, ta moja choroba straszna?...

Siostra — (milczy).

Rylski. Siostro, mów, — to nie suchoty?!...

Siostra — (niepewnie): Nie wiem...

Rylski — (pada na łóżko twarzą do poduszki i tak leży).

(Wchodzi Doktór).

Michał Mutermilch.

Ksiądz, kobieta i wolnomyśliciele.

Zagadnął mnie w tych dniach pewien pan Karol niespodzianie:

— Mój kochany, poradź mi, jak oduczyć moją niewiastę od chodzenia do spowiedzi?

Mówię: niespodzianie, bo pan Karol był to taki sobie typowy warszawski wolnomyślny inteligient, — sam do kościoła nie chodził, w Pana Boga nie wierzył, i nawet czytywał w kawiarni „Myśl Niepodległą“, choć uważał, że ona często „grubo przesadza“, — ale był zdania, że „kobieta powinna mieć wiarę“. Niedawno ożenił się z pewną bardzo religijną panienką, i, jak dotąd, bardzo był z tego zadowolony..

Nie omieszkałem, rzecz prosta, zadrwić sobie nieco z tej gwałtownej zmiany przekonań.

— Ot, dałbyś spokój, — odparł. — Sam przecie rozumiesz, że to całkiem co innego. Wiara swoją drogą, a spowiedź swoją. Ja tam sobie wcale nie życzę, żeby moja żona chodziła spowiadać się przed kawalerem.

Przed kawalerem! — Zrozumiałem. Pan Karol przeczytał najwidoczniej w „Myśli Niepodległej“ artykuł pod tytułem: Zasady moralne spowiedników.

Istotnie tak było. Pan Karol przeczytał, i zaniepokoił się okrutnie. Tym razem już nie twierdził, że „Myśl Niepodległa“ „grubo przesadza“. Na pamięć się artykułu nauczył i chciał mi go koniecznie powtórzyć. Uspokoiłem go, że artykuł ten znam.

— No to widzisz! Boże święty, jak się tu teraz przekonać?!

— O czym przekonać, kochanku, — przerwałem wylewy poruszonego serca.— O czym! — Posłuchajno, mówmy zupełnie poważnie! Czy ty swoją kobietę kochasz?

— No chyba!

— To zastanówże się na chwilę, co ty teraz robisz.. Opowiadasz człowiekowi bądź co bądź obcemu, że podejrzewasz swoją żonę, którą, jak mówisz, kochasz, a więc i szanujesz chyba, Bóg wie co i niewiadomo skąd...

— Jakto niewiadomo... Wiadomo!

— Właśnie że niewiadomo. Zresztą, pozwól mi dokończyć.. Jeżeli to ma być podług ciebie miłość i szacunek dla kobie-

ty, to skończmy lepiej tę rozmowę, bobym ci musiał za te, które ja kocham i szanuję, powiedzieć kilka słów mocnych i nieprzyjemnych.

— Nie prosiłem cię o nauki moralne, tylko o radę.

— Mogę ci to jedno poradzić, byś się nauczył wierzyć w uczciwość tych, których niby szanujesz. I to jeszcze, żebyś nigdy żonie swojej o tych podejrzeniach nie wspomniał, bo ja miałem ochotę nawymyślać ci, a ona powinna w twarz plunąć.

Pan Karol się obraził, i słusznie, bo nasze pojęcia moralne są tak dalece od wolnomyślicielskich różne, że zazwyczaj proste ich zastosowanie do oceny czynów wolnomyślicieli daje w wyniku coś, co bardzo na obrazę wygląda.

Twierdzimy naprzykład, że konfesjonał rzeczywiście poniża kobietę, tak samo zresztą jak poniża również mężczyznę, ale niemniej poniża i obraża godność kobiecą to, co mówi o kobiecie i konfesjonale wolnomyśliciel.

Mowa tu, rzecz prosta, już nietylko o takich sobie warszawskich wolnomyślicielach, jak mój pan Karol, ale i o tych „prawdziwych", tych z „Myśli Niepodległej".

Jakże to? — powiecie. — Przecie wolnomyśliciele są gorącemi zwolennikami zupełnego równouprawnienia kobiet?

Dziwnie czasami to ich równouprawnienie wygląda. Prawie tak dziwnie, jak ich „przychylność" dla sprawy robotniczej. I warto przyjrzeć mu się z blizka.

Ów artykuł, który tak mojego pana Karola zaniepokoił, jest istotnie bardzo niepokojący. Bo, twierdząc całkiem zresztą słusznie, że

> „Jest to bodaj fakt, że w Polsce kościół najbardziej opiera się na kobietach",

zapytuje autor:

> „Czy dla tego, że ów kościół jest dla nierządu tak wyrozumiały i tak uczy go ukrywać?"

To jest chyba dość wyraźne. Dalej jest jeszcze wyraźniej:

> „Wstydem dla polskiej kobiety jest jej konfesjonał i jej spowiednik... Popatrzmy na tych naszych warszawskich księżulków wypomadowanych, wyperfumowanych, tłuściutkich, fertycznych. Co to wszystko znaczy?

> Niechno panowie mężowie pomacają się po głowach, a napewno domacają się potężnych rogów jelenich. Niechno ojcowie i matki dobrze przypatrzą się córkom. Niechno przełożone zwrócą uwagę na te majóweczki z księdzem katechetą".

Nie mam ani powodu, ani ochoty bronić przed „Myślą Niepodległą" moralności księży katolickich. Wiemy, że ich bezżeństwo teoretyczne w praktyce równa się bardzo często rozpuście.

Ale tu oskarża ona nietylko księży, oskarża tu „M. N." ogół kobiet polskich, że są to ni mniej ni więcej jeno dziewki księże!.. Przepraszam, nie cały ogół, tylko te, które chodzą do spowiedzi.

Trudno się dziwić mojemu panu Karolowi, że zimne nań uderzyły poty, kiedy ów artykuł przeczytał. Ale dziwnym wydaćby się mogło, że „M. N" zwraca się tu nie do kobiet; skoro jesteśmy za równouprawnieniem, sądzićbyśmy powinni chyba, że kwestja ich moralności je przedewszystkim obchodzi,—ale do *mężów* przedewszystkim, — że, zamiast starać się obudzić sumienie w tych polskich nierządnicach, czujność panów i władców zbudzić usiłuje.

Tak. Wolnomyśliciel, póki jest tylko takim sobie wolnomyślicielem, jak mój pan Karol, twierdzi, że „kobieta powinna mieć wiarę"—kiedy zaś stanie się już wolnomyślicielem prawdziwym, twierdzi, że kobieta powinna mieć opiekę. Póki jest panną, niech dają na nią baczne oko rodzice, gdy za mąż wyjdzie—pan i władca. Szczególnie nad Polką. Bo Polce wierzyć nie można. I zdradzi, i przysięże krzywo, że nie zdradziła. Ksiądz nauczy. Wolnomyśliciel polski wie, że, naprzykład, Angielka jest dumna, Szwedka jest dumna, Francuzki już przejrzały, zaczynają przeglądać Hiszpanki i Włoszki, a Polka jest dziewka księża, gorzej, bo Polka nierząd z księdzem lubi.

Jak bo tu inaczej wyrozumieć to przypuszczenie, że w Polsce kościół opiera się na kobietach dla tego, że jest dla nierządu tak wyrozumiały i tak uczy go ukrywać.

A pan mąż ma przecie prawo wiedzieć o wszystkim.

Przytacza „M. N." dwa klasyczne tej wyrozumiałości przykłady, i w obydwuch wypadkach muszę stanąć po stronie „kawalerskiej" moralności katolickiej przeciw „mężowskiej" moralności wolnomyślicielskiej.

W pierwszym wypadku twierdzi kościół katolicki, że nie należy potępiać kobiety, która nie przyznaje się podejrzliwe-

mu mężowi do popełnionego cudzołóstwa, w drugim, że narzeczona nie ma obowiązku przyznawać się narzeczonemu. że utraciła dziewictwo.

Sądziłbym, że kobieta, tak samo jak i każdy inny człowiek, ma prawo „nosić klucze od swojego sumienia we własnej kieszeni“ i *nikomu* ich nie powierzać. A już żadną miarą ten mąż podejrzliwy i przedewszystkim o niepodzielność swego posiadania dbały, ten narzeczony, któremu nie o miłość, ale o dziewictwo kobiety chodzi—nie znajdą we mnie obrońcy swoich „praw“. Przyznam raczej rację księdzu i jego „teorji przewrotności“, „nauce wykrętów“.

Tym łatwiej, że w tym wypadku moralność katolicka w istocie wykrętów zgoła nie *„zaleca“*, ni cudzołóstwa i „puszczania się“ panien broni. *Rozgrzesza* jedynie kobietę z zatajenia tych błędów, twierdzi jedynie, że kobieta *nie ma obowiązku* do nich się przyznawać.

Stwierdzam to nie dla tego, bym chciał moralności katolickiej bronić, stwierdzam po to, żeby ostrzec naszych czytelników, by w walce z klerykalną nawałą nie używać ze broń podejrzanych argumentów pp. wolnomyślicieli, którzy np. w tym wypadku, w sprawie z księdzem i kobietą, walczyć umieją również — oszczerstwem.

Wykład teologji moralnej katolickiej, podawany przez „M. N.“, jest nawskroś wykrętny i przewrotny, — co jest tym przykrzejsze, że jest ona i bez tego wcale brudna. — Nie twierdzę bynajmniej, by i księża w taki sam sposób przepisów swojego kościoła tłumaczyć nie umieli, owszem, ale wśród księży, tak samo jak i wolnomyślicieli, bywają też ludzie dobrej wiary, — ktoby zaś użył argumentów „M. N.“, spotka się słusznie z zarzutem, że każdy przepis daje się przecie tak i owak wykładać, ale w taki sposób żaden człowiek uczciwy go nie wykłada. (Wykład „M. N.“ jest zresztą całkiem błędny z punktu widzenia zasad interpretacji logicznej).

Twierdzi „M. N.“, że, podług obowiązującej teologji moralnej, spowiednik, „który nadużył konfesjonału w celach rozpusty, nie jest właściwie nawet grzesznikiem“, bo — nie potrzebuje się z tego spowiadać.

Odnośny ustęp tekstu teologji moralnej mówi tylko, że spowiednik nie potrzebuje spowiadać się z tego, że kobieta, z którą utrzymywał stosunek, była jego penitentką, o ile nie przy spowiedzi ją do rozpusty namówił.

Twierdzi dalej, że jest cały szereg wypadków, w których, według tej samej teologji moralnej, „nie należy“ lub nawet „nie wolno“ skarżyć księdza spowiednika, że uprawia rozpustę.

Każdy ksiądz odpowie całkiem słusznie, że to jest kłamstwem, że w wypadkach, które „M. N.“ przytacza, chodzi o rzecz zgoła odmienną. Teologja moralna katolicka nakazuje pod grozą nieotrzymania rozgrzeszenia kobiecie, którą ksiądz podmawiał podczas spowiedzi do rozpusty, denuncjować go jawnie przed jego władzą duchowną, i określa, wprawdzie z bardzo wymyślnym „liberalizmem“, wypadki“, do których się ten nakaz nie stosuje. Są to ustępy, w bardzo jaskrawym świetle przedstawiające obyczajność księży, ale — jest gruba różnica między tym, czy nie trzeba w pewien określony sposób denuncjować, czy zaś nie wolno skarżyć!

Twierdzi, że księża *mają obowiązek* znieprawiać nieskromnemi pytaniami młode dziewczęta, co się również z prawdą dość daleko rozmija.

Twierdzi także, że kościół „natarczywie domaga się“ spopularyzowania aż do szkół bardzo istotnie pornograficznej instrukcji dla spowiedników św. Alfonsa Lignori'ego, co również prawdą nie jest, bo jest ona przeznaczona wyłącznie dla księży.

Poświęciłem tyle miejsca na wykazanie najważniejszych błędnych informacji „M. N.“ z katolickiej teologji moralnej dla tego również, że potworne oskarżenie, rzucone przez „M. N.“ na kobietę polską li tylko na kruchej podstawie tych błędów i fałszów jest oparte, i w ten sposób najlepiej ujawnia się jego nicość.

„M. N.“ starała się wmówić, że zasady moralne katolicyzmu zmuszają poprostu kobietę katolicką do uległości chuciom rozpustnego kapłana. Pokazało się, że tak nie jest.

Nie myślę, rzecz prosta, bronić dobrej sławy księży. Wiemy aż nazbyt dobrze, że wśród nich wielu jest rozpustników, wiemy, na zasadzie własnych ich świadectw, że potrafią i w konfesjonale namawiać do rozpusty te, które się do rozpusty namawiać dadzą,— ale przyczyną tej zgnilizny moralnej nie jest taki czy inny kodeks, taka czy inna teologja moralna. Ta teologja rozpusty nie uczy i uczyć nikogo nie nakazuje. Rozpustny ksiądz uwodzi kobiety tak samo, jak każdy inny rozpustnik, i jak każdemu innemu mężczyźnie, tak i księdzu rozpustnemu, żadna kobieta uczciwa i rozumna ani

się do rozpusty namawiać, ani sprośnych sobie zadawać pytań nie pozwoli.

Przeciwko uwodzeniu dziewcząt przez księży sposób jest ten sam, co i przeciw uwodzeniu ich przez wolnomyślicieli: zdrowe i rozumne wychowanie, i uświadomienie w porę co do spraw płciowych.

To, co „M. N." opowiada, jest nietylko potwornym oszczerstwem na ogół kobiet polskich, ale i bajką o żelaznym wilku.

*
* *

To pobieżne zastanowienie się nad tym, jak to walczy z księdzem o kobietę wolnomyśliciel, daje nam możność naocznego przekonania się, jak nawet tam, gdzie wspólnych mamy wrogów, i wspólne, zdawałoby się, cele, nie może być między nami a niemi nic wspólnego.

Kwestja wyrwania kobiety z jarzma przesądów klerykalnych jest dla nas rzeczą pierwszorzędnej wagi. Ale my nie będziemy, w ślady wolnomyślicieli, domagać się prawnego zakazu spowiedzi usznej, ani sami siostrom ni żonom naszym zabraniać chodzić do spowiedzi nie będziemy. Póki wierzą— niech to czynią. Będziemy je uczyć natomiast walczyć ramię w ramię z nami o nasze spólne prawa, jasne jutro dla naszych dzieci, i wiemy, że kiedy nasze kobiety staną do pracy wraz z nami — świadome, wpływ klerykalizmu opadnie, jak zwiędły zeszłoroczny liść ku wiośnie.

— A już nie powiemy im żadną miarą, żeby do spowiedzi nie szły, bo je tam ksiądz rozpustny sponiewiera. Nie boimy się tego, wiemy, że i najbardziej wierzące same cześć swoją obronić będą umiały. Widzieć w nich dziewek księżych czy kandydatek na takie i nie potrafimy i nam nie trza.

T. Rawski.